Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 35 (1238) ROK XXIV 30 SIERPNIA 1981 R. CENA 7 ZŁ

Andrzej Makowiecki

POWRÓT MACIEJA SZCZĘSNEGO

1.

Jak strasznie może zmienić się człowiek!

Któregoś dnia zobaczyłem go na ulicy, kiedyś zdrowego, wysokiego, zadowolonego z życia mężczyznę, i pomyślałam: coś się stało. Był w czarnej marynarce i burej koszuli, strój sam w sobie pospolity, dopiero twarz nadawała mu upiornych znaczeń. Kiedy widzisz taką twarz, zapadłą, napiętą, z wyrazem stężonego cierpienia w oczach, z których już dawno, tak przynajmniej myślisz, uleciała wszelka nadzieja, kiedy widzisz taką twarz, próbujesz doszukać się przyczyn, które wyżłobiły na niej swoje złowieszcze piętno, bojąc się jednocześnie spytać o nie wprost, z obawą, że to, co usłyszysz, wróci do ciebie w koszmarnym śnie najbliższej nocy.

Widywałem go w barach nad filiżanką wystygłej kawy i w restauracjach z kieliszkiem wódki w ręku, widywałem go na ławkach śródmiejskich skwerów ze wzrokiem utkwionym w gazecie, której wcale nie czytał. Wymienialiśmy ukłony, to znaczy: jeden drugiemu skinął głową. Nie podchodziłem jednak, aczkolwiek znaliśmy się blisko dwanaście lat.

Wreszcie, w połowie lipca, zatrzymał mnie na Piotrkowskiej. Powiedział:

— *Chcę sprzedać dom, a właściwie połowę domu: górne piętro; daleko od drogi, w parku.. Może znasz jakiegoś uczciwego kupca?*

Wymienił sumę i roztoczył dalsze blaski. Okazja. Ci z parteru, sąsiedzi, są niekłopotliwi: ciche, zgodne, bezdzietne małżeństwo, no i babcia staruszka. Nieduży, ale ładny ogród

Dalszy ciąg na str. 8

Foto: *Archiwum*

TOMASZ SOLDENHOFF

skok na głęboką wodę

W „Majedzie" samorząd powstał jeszcze w styczniu, jako jeden z pierwszych w Łodzi. Nie czekając na ustawę ani też wytyczne, a nawet jakby wbrew apelom niektórych działaczy z władz „Solidarności" o wstrzymywanie się z tą inicjatywą. Bo w „Majedzie" po prostu nie było na co czekać.

Stało się to zanim „Trybuna Ludu" ogłosiła tezy rządowych projektów i zanim kilkanaście wiodących zakładów pracy w kraju skrzyknęło się w Sieć Organizacji Zakładowych NSZZ „Solidarność" po to, by stworzyć projekt o „przedsiębiorstwie społecznym", który stał się podstawą do dyskusji i działania samorządów, przyjętą 8 lipca przez tysiąc delegatów w Hali Stoczni Gdańskiej.

Sieć „Solidarności" dała więc ramy organizacyjne dla ruchu, który zainicjowano dużo wcześniej w setkach większych i mniejszych przedsiębiorstw w całym kraju. Jednym z nich jest Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych „Polmatex-Majed", której nazwę znaleźć można na liście zakładów wchodzących w skład Grupy Roboczej na rzecz Międzyregionalnej Inicjatywy Współpracy Samorządów. Grupa ta powstała w połowie lipca — w trzy miesiące po Sieci — na konferencji poświęconej samorządom, odbytej pod egidą „Solidarności" w Lublinie. Łódzki „Majed" widnieje tu obok

Dalszy ciąg na str. 3

Jacek Indelak

„CHŁOP NIE KOCHA ZIEMI"

— *Warta i Pilica to dwie najzdradliwsze rzeki w centralnej Polsce* — powiada pan *Romek Nowicki.*

I nie bez powodu, bo nie dalej, jak ostatniej soboty, utopił się tu kilkunastoletni chłopak. Dwa kilometry od Księżych Młynów w górę rzeki. Nie pierwsza to i nie ostatnia ofiara podstępnej topieli.

Warta zwija się pod Księżymi Młynami w łagodne meandry, rozlewające się szeroko na piaszczyste płyciny. Największa łacha właśnie pod wsią. Pretendowała ongiś do miana najpiękniejszej plaży rzecznej. Dziś plaża podupadła nieco — zaniedbana przez gospodarzy, stratowana przez krowy i wczasowiczów, a i zrujnowana niedawnymi powodziami.

Sama rzeka też zmarniała — zatruwana coraz skuteczniej spuszczanymi zewsząd ściekami. Przed trzema laty przeżyła prawdziwy wstrząs ekologiczny: jakaś fabryczka z Widawy wtłoczyła w jej wody śmiertelną dawkę ługu. Płynęły wtedy Wartą brzuchami do góry całe ławice ryb. Pan *Marian*, przewoźnik z promu, naliczył wśród nich z pół setki okazałych sumów. Największego bogactwa tej rzeki. Dziś po sumach nie ma śladu, a pomyśleć, że jeszcze pięć lat temu tenże *Marian* wyciągnął siecią 35-kilogramowy okaz.

Po tamtej katastrofie rzeka ciągle dojść do siebie nie może. Wprawdzie na płyciznach spod stóp smyrgają zgraje narybku, wprawdzie ten i ów wędkarz wyciągnie z wody półmetrowego szczupaka — rzeka jednak niewyraźna. Zmętniałe wody toczy, że strach w nią zanurkować, a nawet i potaplać się nieco, gdyż są i tacy, co egzemy od kąpieli dostają.

Utyskuje pan *Romek na* przemysłowych wandali. Nikt nie zna ani dnia, ani godziny, kiedy znów atak dranie przypuszczą, wodę splugawią, ryby wytrują. Póki co ciągnąć trzeba z rzeki, ile się da. Można i wędką. Sterczy nad brzegami dzień w dzień mnóstwo miejskich palantów z kijami, ale co oni tam złowią? Kolację dla dwóch osób przez dzień cały? Lepiej metodą miejscowych:

Dalszy ciąg na str. 4—5

I

POGRZEB

Marszałek Piłsudski nie zostawił testamentu politycznego. Powiedział kiedyś Mościckiemu, że gdy się będzie czuł zmęczony, niech ustąpi prezydenturę Sławkowi. Za czasów premierostwa Kozłowskiego ustalono, że Prezydent ustąpi jesienią 1935 r. — przy czym nie wyjaśniono, czy sam Marszałek czy Sławek zajmie jego miejsce.

Marszałek umarł o godz. 8,45 wieczorem dnia 12 maja 1935 r. Szukano Prezydenta, by ogłosić tę wieść przez radio, a ponieważ Prezydent był w drodze samochodem ze Spały do Warszawy, więc dano przez radio zapowiedź, że nastąpi komunikat wielkiej wagi państwowej, i dopiero o godz. 1.05 w nocy ogłoszono zgon Marszałka. Ale wiadomość w ciągu dwu godzin obiegła całą Polskę. Już przed godz. 10 wiedzieli o tym wszyscy w miastach i miasteczkach polskich; w kawiarniach orkiestry przestawały grać, muzykanci porzucali instrumenty, na chodnikach gromadziły się niespokojne grupy ludzi... Uczucie zdenerwowania ogarnęło cały kraj.

Z dni pogrzebowych pamiętam najlepiej kilka fragmentów. Otwartą trumnę

Stanisław Cat-Mackiewicz

WIECZÓR

w Belwederze i dużo ludzi zapłakanych, konwulsyjne szlochania pań, które przechodziły koło trumny. Tłum ogromny u krat Belwederu, mało i dość nieporządnej policji konnej i znów mnóstwo osób płaczących.

Potem, jak wynoszono trumnę z Belwederu. Był to wieczór, słońce zachodziło. Od ulicy osłaniały Belweder kasztany, które sadził jeszcze Stanisław August. Belweder od świec wewnątrz i od zachodu słońca stał się żółty, jak woskowa świeca, jak gromnica. Cisza była naokoło. Z lewej strony schodów stanął wyprostowany Śmigły-Rydz, zasuwając

Dalszy ciąg na str. 11

PRAGNIENIE I RZECZYWISTOŚĆ KOMUNIZMU

Edmund Lewandowski

Komunizm jest utraconym rajem ludzkości, a także jej odwieczną nadzieją i tęsknotą. Był to historycznie pierwszy ustrój w dziejach każdego ludu. I będzie konieczną przyszłością świata — jeśli prawdziwa jest dialektyczna formuła **„negacji negacji"**, według której rozwój odbywa się w ten sposób, że dana forma ustępuje miejsca swemu przeciwieństwu, a ta z kolei schodzi ze sceny na rzecz własnego przeciwieństwa. Dzięki tej logicznej prawidłowości trzecie ogniwo łańcucha rozwojowego jest p o w t ó r z e n i e m pierwszego, ale na bardzo już wysokim poziomie postępu. Świat zmierzałby więc od pierwotnej formacji przedklasowej — poprzez różne progresywne ustroje klasowe — do społeczeństwa bezklasowego, czyli komunistycznego. Z tym, że na drodze do komunizmu, jak się zwykle przyjmuje, znajdowałby się dłużej lub krócej trwający etap systemu socjalistycznego.

Słowa **„socjalizm"** i **„komunizm"** są, jak wiadomo, pochodzenia łacińskiego. W języku tym **socialis**, znaczy **społeczny**, zaś **communis — wspólny, powszechny.** Oba określenia są zaprzeczeniem **„prywatności"** (z łac. **privare** — pozbawiać). Pojęcie **socjalizm** — oznaczające tak jak dziś pewną ideologię i ustrój społeczny — ukształtowało się i zrobiło szybką karierę w pierwszej połowie XIX wieku. Modnym pojęciem posługiwali się zarówno przeciwnicy kapitalizmu, jak i jego zwolennicy, dążący jedynie do reform. Tych ostatnich była większość.

Socjalizm stał się — według wyrażenia **Engelsa — „uchem klasy średniej"** i miał nawet **„wstęp do salonów"**. Z tych względów **Marks** i **Engels** nie nazwali swego Manifestu z 1848 roku socjalistycznym, lecz komunistycznym. I tym drugim terminem zaczęli posługiwać się wszyscy radykałowie, zmierzający do obalenia istniejącego systemu i zastąpienia go nowym, w którym klasą panującą stanie się proletariat i zlikwidowane zostanie prywatne posiadanie środków produkcji.

Wszystkie poznane pierwotne społeczeństwa rodowo-plemienne nie znały własności prywatnej. Najważniejsze warunki egzystencji, jak ziemia, lasy, wody, należały do całej wspólnoty. Natomiast narzędzia, broń, odzież, były własnością indywidualną. Nikt tu nie był strukturalnie pozbawiony środków do życia i nikt też nie przywłaszczał sobie efektów pracy cudzej. Zróżnicowanie społeczne miało w znacznym stopniu charakter „naturalny": według płci, wieku i sprawności psychofizycznej. Zawłaszczone przez wspólnotę tereny często rozdzielano między rody drogą losowania. System ten obowiązywał na przykład w XIII wieku p.n.e. wśród izraelskich najeźdźców Ziemi Kanaan. W biblijnej Księdze Liczb czytamy, że Bóg Jahwe polecił Mojżeszowi i jego ludziom wypędzenie tubylców, przywłaszczenie ich ziemi i przydzielenie poszczególnym rodzinom poprzez losowanie (Lb 33, 50—56). Podobny opis znajdujemy w Księdze Jozuego (Joz 18,1 — 10 i dalej). W pierwotnej wspólnocie każdy człowiek miał prawo „równego udziału". Ciekawe, że u Greków na straży tego prawa stały Mojry — córki samego Zeusa i bogini sprawiedliwości, Temidy. Słowo „moira" znaczyło początkowo udział, część. A imię drugiej z trzech bogiń, Lachezis, pochodzi prawdopodobnie od „lachos", tzn. udziału otrzymanego w wyniku losowania.

W miarę rozwoju sił wytwórczych (narzędzi i organizacji pracy) stopniowo rezygnowano z dotychczasowego gospodarowania zespołowego i przechodzono na indywidualne. Przez to traciło sens kolektywne przywłaszczanie dóbr, a bardziej racjonalna stała się własność prywatna. Ta nieznana przedtem instytucja lepiej sprzyjała wzrostowi wydajności pracy i stymulowała rozwój społeczny, ale z drugiej strony umożliwiła powstanie wyzysku, klas i niewolnictwo. Pojawiły się systemy oparte na nierównościach społecznych.

Dalszy ciąg na str. 4, 5, 6 i 7.

WOKÓŁ NAS

BOGDA MADEJ

ZŁUDZENIA I NADZIEJE

Dobiega już niemal końca Międzynarodowy Rok Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych. Przechodzi ten rok niepostrzeżenie. Przesłaniają go inne wydarzenia. Ginie w natłoku strajków, protestów, napięć i konfliktów. A przecież dotyczy sporej części społeczeństwa, której należy się pomoc, opieka i szacunek.

W czerwcu w Katowicach odbywał się Krajowy Zjazd Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczości Inwalidów. Zjazd ten zaprosił na swoje obrady przedstawicieli rządu. **Już nie chodziło o to** — mówią delegaci na ten zjazd **— aby przyjechał sam premier, czy wicepremier, ale żeby czas znalazł choć któryś z ministrów.** Nie przyjechał nikt i delegaci złożyli protest na ręce premiera gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W proteście tym sformułowano żądanie:

„...Zjazd Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczości Inwalidów domaga się i żąda wprowadzenia kompleksowej problematyki rehabilitacji społecznej i zawodowej inwalidów w Polsce do tematyki pracy rządu w celu podjęcia stosownych uchwał zmierzających do likwidacji wieloletnich i rażących zaniedbań i wykazywanej ignorancji."

Inwalidzi są przekonani, że społeczeństwo jest absolutnie obojętne na ich problemy i bardzo nad tym boleją. Inwalidzi też kiedyś byli ludźmi zdrowymi, albo — jak to się określa — pełnosprawnymi i wiedzą z własnego, ciężkiego doświadczenia, co to znaczy pełnosprawność tę stracić. Ale ludzie pełnosprawni tej świadomości nie mają. Wiele z tego wynika nieporozumień i strat.

Na początek pytanie: — ilu w Polsce jest ludzi niepełnosprawnych? Odpowiedzi na to pytanie padają różne. W indeksie „Rocznika Statystycznego" nie ma hasła: inwalidzi, ani niepełnosprawni. **Prof. Jan Szczepański podaje, że ludzi niepełnosprawnych w naszym społeczeństwie jest od 14 do 16 procent.** Według innych danych mówi się o 2,5 mln osób. Dokładnie nie wiadomo. Przede wszystkim nie ma kryteriów, według których można byłoby precyzyjnie określić, kto jest, a kto nie jest człowiekiem pełnosprawnym.

Sprawa jest dość skomplikowana i delikatna. Kalectwo jest u nas czymś wstydliwym, godnym litości i... lekceważenia. Są więc ludzie, którzy mimo kalectwa starają się być normalnymi, takimi jak wszyscy i to im się często udaje. Sami przyzwyczajają się do swego kalectwa i przyzwyczajają innych. I są tacy, którzy z pozoru są „normalnymi", a w istocie są ludźmi niepełnosprawnymi, gdyż tę sprawność odebrały im choroby. I jak tu klasyfikować? Jak rozróżniać? I czy w ogóle trzeba?

Na ogół klasyfikację tę przeprowadzają urzędnicy ZUS. Jest ona dostosowana do problemów zatrudnienia i musi odpowiadać na pytanie: do jakiej grupy zaliczyć inwalidę, czyli — do jakiej pracy jest on zdolny. Są trzy grupy inwalidztwa. Ale to problemu nie rozwiązuje.

PROBLEM ZACZYNA SIĘ OD DZIECI

Na przykład głusi rodzice mają zdrowe, słyszące dziecko. To dziecko wymaga specjalnej opieki. Musi być wśród ludzi słyszących, musi nauczyć się mówić, czego nie mogą mu dać głusi rodzice. Musi dostać się do żłobka, do przedszkola. Musi być w szkole inaczej traktowane. Czy wychowawcy i nauczyciele mają na to czas? Czy o tym pamiętają? Gdyby tak było, Polski Związek Głuchych nie postulowałby zwiększenia opieki wychowawczej nad dziećmi głuchych rodziców.

Wcześniaki bardzo często rodzą się niewidome. Nikt się tym nie interesuje, bo jest to na początku trudne do stwierdzenia. Szpitale mają obowiązek zgłaszania dzieci z wadami wrodzonymi czy nabytymi i zapewnienia im później opieki przez związki czy lekarzy specjalistów, ale nie zawsze się z tego obowiązku wywiązują. Poza tym ze specjalistami też nie jest najlepiej. Nim się matka zorientuje, że dziecko jest niewidome, mija sporo czasu. Najczęściej jest sama. Próbuje sobie jakoś radzić, ale bez pomocy specjalistów nie daje rady. Tej pomocy może udzielić jej związek, ale nim do niego trafi mija kilka lat. Dziecko nie umie mówić, chodzić, nie widzi, jest kaleką z winy społecznej obojętności.

Najgorzej na wsi. Na wsi dzieci kalekie nie są przydatne do pracy. A kto nie jest przydatny do pracy, tym się poniewiera. Znany jest przykład chłopca niewidomego, którego zamykano w ciemności — przecież i tak nic nie widzi — i dawano groch do łuszczenia, bo to można robić i po ciemku. Po kilku latach tak opuszki palców zrogowaciały, że już nie można go było nauczyć czytać pisma Braille'a. A czy to jest tylko jeden taki przypadek?

Stan szkolnictwa specjalistycznego, dla dzieci upośledzonych, ociemniałych, głuchych, nie jest najlepszy. Nie jest nawet zadowalający. Przede wszystkim nie ma kadry. To znaczy nie ma nauczycieli przygotowanych do pracy z dziećmi kalekimi. Nie ma niezbędnych pomocy naukowych. Na przykład papier do drukowania książek pismem Braille'a sprowadzano ze Stanów Zjednoczonych. Teraz w dobie kryzysu, kiedy nie ma walut, czy w ogóle będzie możliwe sprowadzanie takiego papieru?

Można tu tylko liczyć na domyślność Polonii amerykańskiej. Ale, czy wszystko można w kraju opierać na czyjejś dobrej woli, domyślności i pomocy?

Nie ma też programów dostosowanych do dzisiejszych potrzeb. Przysłowiowe już robienie szczotek — dobre na początku XIX wieku — dziś już jest anachronizmem. Ludzi ociemniałych można uczyć różnych prac i to ze znakomitym powodzeniem. Ale aby tak było, są potrzebne ośrodki kształcenia specjalistów i ludzi z wadami wzroku, ociemniałych. W Polsce są dwa takie ośrodki i 5 szkół dla dzieci niewidomych.

Stosunek do szkół dla dzieci kalekich nie jest też najszczęśliwszy. W Łodzi na przykład szkołę dla dzieci niewidzących przy ul. Tkackiej przekształcono w szkołę dla dzieci upośledzonych. Lokal ładny. Położenie też. Ale obok są wille. Ludzie chcą tu budować następne. Więc i zaczęto teren szkoły okrawać. A powinno się działać przeciwnie. Przecież Łódź ma obowiązek wziąć pod opiekę dzieci z całego województwa, zatem i teren szkoły trzeba powiększać, a szkołę rozbudowywać. Ale oto — jak mi opowiedziano — kierownik szkoły zaczyna się zastanawiać, czy aby to rodzice dzieci zdrowych, mieszkających wokół, nie zaczną protestować przeciw sąsiedztwu z dziećmi chorymi, upośledzonymi? Ludzie, gdzież my jesteśmy? Podobno szczycimy się tym, że należymy do krajów cywilizowanych. Często ogarniają mnie wątpliwości.

A dzieci obłożnie chore? Przykute kalectwem do łóżka, do wózka inwalidzkiego? Kto zajmie się ich nauką? Kto pomoże im stać się — mimo kalectwa — ludźmi powróconymi społeczeństwu?

KAŻDY CHCE BYĆ POTRZEBNY

Każdy chce czuć się pełnosprawnym członkiem społeczeństwa. Coś dla tego społeczeństwa robić w miarę możliwości, sił i zdolności. Ludzie upośledzeni przez życie też mają do tego prawo. Ale życie spycha ich na margines. Oczekują pomocy od społeczeństwa. Społeczeństwo zagonione, zajęte własnymi sprawami, pełne sprzeczności, podzielone, żyjące w ciągłym napięciu nie ma czasu na zajmowanie się sprawami ludzi, których doświadczył los.

Każdemu z nas grozi kalectwo. Ale nikt o tym nie chce pamiętać. Mało kto przychodzi kalece z pomocą. Na ogół zostawia się go samego.

Do legendy przechodzi już przykład Instytutu Włókien Sztucznych, gdzie człowiek po wypadku, w którym stracił wzrok, nie tylko był leczony na koszt instytutu, ale instytut zakupił za 3.000 (trzy tysiące) dolarów specjalny aparat, przy pomocy którego można czytać książki i zatrudnił inwalidę jako tłumacza książek z języków obcych. Okazuje się, że można, tylko trzeba chcieć. Na ogół u nas się nie chce.

A stan, w jakim znajduje się spółdzielczość inwalidów? Popularnie mówi się, że jest to „spółdzielczość inwalidzka", prościej byłoby powiedzieć, że jest to spółdzielczość chora. Nie chodzi już tylko o technologie, które są często prymitywne, jak na przykład przy produkcji zabawek piszczących dla niemowlaków, gdzie potrzeba dużego wysiłku fizycznego i gdzie panuje wysoka temperatura, czego nie wytrzymują zdrowi, a inwalidzi — muszą. W Spółdzielni „MORS" rehabilitację podstawową prowadzi się w suterenie. Tymczasem spółdzielnie mają obowiązek nie tylko dawać pracę, ale i zapewniać rehabilitację. Spółdzielnia „POLIMER" zajęła baraki po Spółdzielni im. M. Buczka w 1974 roku i nadal się tam męczy, choć inspekcja pracy powinna już dawno zamknąć lokal. Wtedy jednak 400 inwalidów pozostałoby bez pracy.

Działacze spółdzielczości inwalidzkiej żądają ulg podatkowych. Celem tego ma być powstanie funduszu na rzecz inwalidów. Ale taki fundusz nie mieści się w obowiązujących przepisach prawnych. Domagają się też wyższego niż 2-procentowy funduszu socjalnego. Zastanawiają się też inwalidzi, czy nie zwrócić się do Rady Narodowej Miasta Łodzi, aby na jednej z sesji omówione zostały ich problemy. I czy nie byłoby dobrze, aby podobnymi sprawami zajął się również Komitet Łódzki PZPR na

Foto: R. Łucyszyn

jednym ze swych plenarnych posiedzeń. Myślę, że obie sprawy powinny być do załatwienia. Chodziłoby tu o stworzenie i zaakceptowanie programu działań, którego realizacja zależna jest nie tylko od inwalidów.

POKONAĆ BARIERY ARCHITEKTONICZNE

Oto jedno z pilnych zadań. Co to są te bariery? Jest to między innymi uwzględnianie w projektowaniu faktu, że jedno, dwa mieszkania w bloku powinni otrzymać inwalidzi. Na przykład: ludzie głusi — a więc muszą ktoś zamieszkać w takim mieszkaniu urządzenia sygnalizujące światłem. Albo ludzie ociemniali i trzeba tak zaprojektować mieszkanie, aby „ciągi komunikacyjne" były w nim proste. Albo, że w jednym z mieszkań będzie mieszkał ktoś poruszający się na wózku. Dziś o tym nikt nie myśli. A jeśli nawet gdzieś buduje się blok dla inwalidów, to oni są temu przeciwni, gdyż nie chodzi im o izolację od społeczeństwa, a wręcz przeciwnie, o jak najściślejszy kontakt z tym społeczeństwem.

Cóż tu jednak mówić o pokonywaniu barier architektonicznych, skoro sam przydział mieszkań dla inwalidów sprawia masę kłopotów. Obecnie 210 rodzin inwalidów oczekuje na mieszkanie, a można będzie zdobyć dla nich być może 40, a już bez wątpienia... 10 mieszkań. W Konstantynowie udało się na przykład wcisnąć 6 rodzin i uważane to jest za zwycięstwo.

Inwalidzi twierdzą, że nie tyle powinno chodzić o pokonywanie barier architektonicznych, ale przede wszystkim o pokonywanie barier psychicznych. I to w obie strony. Inwalida po utracie zdrowia i pełnej sprawności musi wrócić do społeczeństwa ludzi zdrowych, którzy traktują go jak kogoś gorszego gatunku. Musi więc sam pokonać swoją słabość i nabrać przekonania, że chociaż nie jest już pełnosprawny, to może być w pełni pożyteczny. Z drugiej strony ludzie zdrowi muszą inaczej patrzeć na inwalidów. Ich inwalidztwo traktować w sposób naturalny, jak coś normalnego, co nie przeszkadza człowiekowi niepełnosprawnemu być w pełni pożytecznym.

Tymczasem.

Tymczasem inwalidzi bezskutecznie dobijają się o prawo udziału w spółdzielczych komisjach przydzielających mieszkania. Ich udział w tych komisjach mógłby wpływać na decyzje komisji, gdyż przynosiłby im niezbędne informacje o stanie zdrowia inwalidów, o ich potrzebach. Taki udział przedstawicieli związków inwalidów w komisjach wymaga tylko dobrej woli, zrozumienia potrzeb inwalidzkiej społeczności. W ogóle — mieszkania dla inwalidów nie powinny stanowić żadnego problemu. W końcu rodzin inwalidzkich nie jest tak wiele. Ale w rzeczywistości jest inaczej. Dostają mieszkania raczej na końcu, po zaspokojeniu wszystkich innych potrzeb.

Albo.

Kiedy na poczcie w Łodzi inwalidzi chcieli rozlepić plakaty informujące o Międzynarodowym Roku Inwalidy i Osób Niepełnosprawnych, dyrektor poczty w Łodzi zabronił, motywując to tym, że musi najpierw uzyskać zgodę... Warszawy. A inwalidzi wychodzili z prostego założenia, że na poczcie duży ruch i dzięki temu wiele ludzi dowie się, że taki Międzynarodowy Rok Inwalidy i Osób Niepełnosprawnych w ogóle istnieje, że został uchwalony, i gdzieś tam na świecie ludzie wyciągają z tego jakieś wnioski.

Inwalidzi postulują nadanie im Karty Inwalidy. Teraz wszyscy walczą o karty. Tylko, czy to coś rzeczywiście załatwi? Sądzę, że nie dzieleniem przywilejów można rozwiązać wiele spraw naszej trudnej rzeczywistości, ale np. upraszczaniem i nowelizacją prawodawstwa. Na przykład: na pewno jakichś zmian wymaga system przyznawania rent inwalidzkich, dodatków; są one niezmienione od lat mimo, że spadła wartość pieniądza. Zmiany wymaga system finansowania spółdzielczości inwalidów. Spółdzielczość ta powinna otrzymać większą samorządność. Opracować należy minimum socjalne dla inwalidów. Rozwiązać problem samotnych inwalidów, którzy znikąd nie mają pomocy. Spraw jest wiele. Ale Międzynarodowy Rok Inwalidy i Osób Niepełnosprawnych, który w zamyśle miał właśnie być bodźcem dla szukania takich rozwiązań, przechodzi u nas bez większego znaczenia. Cóż z tego — mówią inwalidzi — że zrobi się akademię, da kilka odznaczeń, wygłosi przemówienia. Można obyć się bez tego. Dla nas ważniejsze jest, aby można było załatwić kilka naszych, życiowych spraw.

Tych spraw jest sporo. Różnej wagi. Ale są i drobne, które tylko od nas zależą, od każdego z nas. To szacunek i pomoc dla ludzi niepełnosprawnych. Taka zwykła, ludzka życzliwość na co dzień. Ot, choćby w kolejce nawet. Czy nas na to stać?

W ŚWIECIE

TYDZIEŃ W POLITYCE

Znów (czy naprawdę nie za często?) zainteresowanie opinii publicznej zwróciło się w naszą stronę. Tym razem z powodu tzw. dni bez prasy, ogłoszonych przez „Solidarność". Wiele drukarń rzeczywiście strajkowało, ale prasa w zastępczych punktach druku została wydana. Te właśnie fakty obficie zostały odnotowane przez zagraniczne środki masowego komunikowania. Pojawiły się komentarze na temat faktu, że dwa związki zawodowe poligrafów zajęły różne stanowiska, podobnie jak kioskarze. Zauważano fiasko apelu do czytelników, aby zbojkotowali kupno gazet. I stawiano często pytanie: **czy to kolejne napięcie było komukolwiek potrzebne?**

Nie bez związku z tym pytaniem agencja amerykańska UPI pisze, że w 60 dużych zakładach w Polsce przeprowadzona została przez „Solidarność" ankieta, która wskazuje na utratę poparcia robotników dla związku „za nie uczynienie niczego wobec pogarszających się problemów gospodarczych kraju".

Sytuacja ekonomiczna Polski analizowana była w ub. tygodniu w wielu tytułach zachodnich. Zwróćmy uwagę na dwa.

Brytyjski „Guardian" w komentarzu redakcyjnym pisze m. in.:

„Przez minione 12 miesięcy Zachód wodził się z sobą, w jaki sposób najlepiej pomóc Polsce... W założeniu, że ani Zachód, ani ZSRR nie odniesie korzyści z doprowadzenia do upadku Polski, założeniu, które zostało następnie wzmocnione przez powściągliwość ze strony tak Wschodu, jak i Zachodu, prez. Mitterrand doszedł do słusznego wniosku: „Polska potrzebuje obecnie żywności". Dziennik omawia następnie inicjatywę prezydenta Francji i podkreśla, że podjęta ona została bez żadnych warunków. Artykuł kończy się konkluzją: na dłuższą metę Zachód musi przemyśleć swoje mechanizmy handlu i kredytów dla Wschodu, byliśmy bowiem, mimo wszystko, aktywnymi, choć mimowolnymi, partnerami w stworzeniu polskiego kryzysu.

Miesięcznik „Euromoney" pisze natomiast o naszych zabiegach o przełożenie spłat, ujawniając m. in. że: najtwardsze stanowisko zajmowały banki amerykańskie, będziemy musieli do listopada przedłożyć dane o sytuacji ekonomicznej kraju, bankierzy są nieufni wobec Polski i chcieliby mieć wpływ, na podejmowanie w naszym kraju decyzji gospodarczych.

Przypomnijmy, bo wnioski nasuwają się tutaj same, że w czasie spotkania St. Kani i W. Jaruzelskiego na Krymie z Leonidem Breżniewem wśród form pomocy dla nas **jest także decyzja o odłożeniu spłat na pięć lat.**

A teraz inny temat: zakończenie prac letniej sesji genewskiego Komitetu Rozbrojeniowego. **Plon dyskusji nie jest obfity,** ale w ostatnim dniu obrad udało się zatwierdzić tekst sprawozdania dla Zgromadzenia Ogólnego NZ, który w połowie września zbiera się na obrady. Sprawozdanie to jest rejestrem propozycji i stanowisk, zajętych przez 40 państw w czasie obrad. Zawiera ono m. in. wezwanie, skierowane przez kraje socjalistyczne, do niezwłocznego rozpatrzenia propozycji wprowadzenia powszechnego zakazu produkcji, gromadzenia, rozmieszczenia i stosowania broni neutronowej. O wadze tej inicjatywy wobec decyzji administracji Reagana nie trzeba przypominać.

Komitet Rozbrojeniowy w obecnym składzie pracuje trzy lata. Jak stwierdził przedstawiciel Polski — na porządku dnia musi stanąć teraz sprawa efektywności jego pracy, poszukanie bardziej skutecznych środków i metod jego działania.

I na zakończenie jeszcze o niebezpiecznym incydencie w zatoce Wielka Syrta. Jak wiadomo z codziennych doniesień agencyjnych, doszło tam do walk powietrznych między samolotami amerykańskimi a libijskimi, w rezultacie których dwa myśliwce libijskie zostały zestrzelone.

Prez. Reagan przyznał, że sam polecił marynarce wojennej przeprowadzić manewry w zatoce Syrta, aby zademonstrować siłę USA. Istota sprawy polega na tym, że Waszyngton nie chce uznać roszczeń libijskich wobec granic na wodach i postanowił udowodnić swoje przekonanie o tym, że jest to strefa międzynarodowa obecnością tam amerykańskiej floty.

Libia wniosła oficjalną skargę do Rady Bezpieczeństwa ONZ, oskarżając USA o spowodowanie zamętu i niestabilności w rejonie Morza Śródziemnego.

Całą sprawę trzeba traktować poważniej niż tylko wydarzenie incydentalne.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MILLER JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).
Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORLOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

SKOK NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

takich, wielkich firm jak kopalnie „Jastrzębie" i „Manifest Lipcowy", Huta Warszawa, FSO i puławskie Azoty, w których ruch samorządowy zdążył dojrzeć i okrzepnąć. Wśród tych kolosów „Majed" — zaliczany do zakładów raczej średniej wielkości (1,5 tys. pracowników) — nie był więc / jak widać — już wtedy, w lipcu, samorządowym kopciuszkiem.

CZY PRZEJĘCIE WŁADZY?

Z inicjatywą stworzenia nowego ciała samorządowego wyszedł dyrektor, ale jej motorem była autentyczna potrzeba: ktoś musiał zatwierdzić plan.

— **KSR umarła u nas śmiercią naturalną** — mówi sekretarz Tymczasowej Rady Pracowniczej **Józef Dobrowolski** (z zawodu inspektor BHP). A jej pierwszy przewodniczący, młody dyspozytor-planista **Janusz Maciejewski** dodaje, by nie było nieporozumień: — **Tamten organ nie był torpedowany, ani rozwiązany. Po prostu nie interesował się załogą, a załoga nim...**

— **To, co się w naszym zakładzie stało z KSR-em, jest przykładem, że żadna fikcja nie może długo trwać** — stwierdza inż. **Mieczysław Gruda,** konstruktor, członek Prezydium Rady i jednocześnie delegat fabryki we wspomnianej ogólnopolskiej Grupie Roboczej.

Gdy ta fikcja ostatecznie upadła, każda z organizacji związkowych i politycznych — proporcjonalnie do liczby członków — zgłosiła swych kandydatów do nowej Rady Pracowniczej. Spośród nich wybrano 105-osobową Radę, a z niej — w tajnym głosowaniu — 15-osobowe prezydium i przewodniczącego. Ten tryb wyborów na pewno nie był szczytem demokracji i członkowie Rady zdają sobie z tego sprawę. Zbyt wiele jednak problemów (m.in. wybory do „Solidarności" i partii) nałożyło się w tamtej chwili, czas naglił, a poza tym dla wszystkich oczywista była doraźność nowego organu. Przecież w marcu – sądzono – powołując się na oficjalne zapowiedzi rządu — wejdzie nowa ustawa... Tymczasem zbliżył się — i przeszedł — marzec, nadzieje rozpłynęły się, a Rada działała nadal bez statutu. I znów ludzie stwierdzili, że nie ma na co czekać. Opracowali siedmiostronicowy Regulamin Tymczasowej Rady Pracowniczej fabryki i Ośrodka Badawczo-Rozwojowego „Majetex". Oparli się w nim — jak mówią — o własne, wewnętrzne przemyślenia. Nie konsultowali go z kimkolwiek z zewnątrz, a skorzystali jedynie z opublikowanych w „TL" tez, regulaminu rady działającej już w... toruńskiej „Elanie"; zajrzeli też do ustawy o radach robotniczych z 1956 roku. Projekt przekazali organizacjom do konsultacji. Poprawiony trafił znów na prezydium TRP, a stąd na Konferencję TRP 13 kwietnia, gdzie — po wprowadzeniu ostatnich poprawek, zgłaszanych z sali przez załogę — został zatwierdzony. Co prawda znowu sądzono, że na miesiąc, najwyżej dwa...

— **Dotąd regulamin spełniał swoje zadanie** — mówi **Janusz Maciejewski. — Chociaż teraz trochę byśmy w nim zmienili. Ale czy warto, skoro rząd zapowiada wejście ustaw 1 października?**

Gdyby jakiś zwolennik teorii o „przejmowaniu w Polsce władzy przez „Solidarność" spojrzał na listę członków Rady, miałby pewnie satysfakcję... Bo policzmy: 15 branżowców, 5 członków ZSMP, 20 przedstawicieli KZ partii i aż 63 z „Solidarności" (przy czym niejeden partyjny jest również w tym związku). Ponadto na 15 członków prezydium aż 10 reprezentuje „Solidarność".

— **Jest to normalne** — wyjaśnia **J. Maciejewski — bo skład Rady odzwierciedla stan załogi, z której większość — 85 proc. — jest w „Solidarności". Proporcje są zachowane. Ale my nie kierujemy się w Radzie przynależnością organizacyjną. Inaczej samorząd straciłby po prostu sens.**

Z tym stwierdzeniem zgadzają się również inni członkowie Rady. Co więcej, podkreślają, że prawdziwy, wiarygodny, samorząd — taki z woli całej załogi — powstanie dopiero po wejściu nowej ustawy. Podpisują się pod tym punktem „społecznego projektu", który wyraźnie określa niezależność samorządu pracowniczego od wszelkich organizacji, w tym „Solidarności". Chodzi także o uwolnienie zakładowych komisji od działalności gospodarczej, którą dotąd się zajmują.

Wielu działaczy, w tym i ci z „Majedu", zdaje sobie przy tym sprawę z konsekwencji poparcia związku dla samorządów (słychać było przecież nawet głosy odmawiające tego poparcia!). **Henryk Stachurski,** przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność" w Majedzie (z zawodu technolog), mówi:

— **Przyjdzie czas, kiedy będą występować konflikty między związkami a samorządem. Nie zawsze interes przedsiębiorstwa pokrywa się z interesem grupy.**

Samorząd musi bronić interesów fabryki i wszystkich pracowników, związek — swoich członków. Tu, w „Majedzie", działacze Rady mieli już przedsmak takiej sytuacji, gdy — choć do konfliktu nie doszło — wyraźnie zarysowała się sprzeczność celów. Rada miała określić limit pracowników „pod plan". Z częścią ludzi trzeba było coś zrobić...

— **Myśmy to potrafili załatwić polubownie, łagodnie. Nie stawialiśmy sztywno sprawy** — stwierdza przewodniczący Rady. — **Nastąpiły jedynie przesunięcia, przemieszczenia pracowników. A po pół roku wiele spraw rozwiązało się naturalnie, przez emerytury, urlopy macierzyńskie itp.**

Inny przykład: odznaczenia branżowe. Związki zgłosiły kandydatów, a do Rady Pracowniczej — zgodnie z regulaminem — należało ich zatwierdzenie, przy czym w dyskusji brano pod uwagę nie to kto jest z jakich związków, lecz rzeczywiste zasługi dla zakładu pracy. Ważną sprawą jest też przestrzeganie kompetencji w działaniu jedynej przy Radzie komisji — Bytowo-Socjalnej. Skupia się ona na sprawach ogólnych, interwencyjne natomiast przekazuje — po zaopiniowaniu — związkom.

By nie doprowadzać do dwuznacznych sytuacji, działacze opowiadają się przeciwko łączeniu funkcji. Np. **H. Stachurski** uważa, że jako szef „Solidarności" powinien występować w Radzie tylko z głosem doradczym. Wszystko to ma jeden nadrzędny cel: by wszelkie konflikty rozstrzygały się na płaszczyźnie zakładu.

— **Jest to jedyna właściwa płaszczyzna** — podkreśla **M. Gruda.**

Wiąże się z tym inna kwestia: socjalny skład Rady. Oba projekty: rządowy i „społeczny", unikają wyraźnego określenia. I chyba słusznie. Projekt rządowy np. mówi, że **„bierne prawo wyborcze służy pracownikom, którzy pracują w przedsiębiorstwie co najmniej dwa lata".** Wyłącza jednocześnie członków kierownictwa. Czy jednak większość w Radzie powinni stanowić robotnicy? W Radzie „Majedu" jest obecnie prawie 70 proc. robotników, ale w prezydium tylko 40 proc. Czy to mało?

Zdaniem **Janusza Maciejewskiego,** do prezydium powinni wchodzić fachowcy, mający orientację w problemach ekonomicznych i prawno-finansowych. Natomiast gremium w większości robotniczym — zatwierdzającym decyzje Rady — powinna być Konferencja Samorządu, zbierająca się co najmniej raz na kwartał. W przekonaniu obecnego szefa Rada powinna być ciałem operatywnym, mogącym w każdej chwili zebrać się i podjąć decyzje (nieraz kilkanaście dziennie). Dlatego dzisiejszy skład Rady i prezydium uważa za zbyt duży. 15—25 osób powinna liczyć cała Rada, a prezydium — maksimum 7. Poza tym prezydium nie może wyręczać Rady, pełniąc za nią różne funkcje wykonawcze. — **Chodzi o taki model** — zauważa **J. Maciejewski, który stworzy najlepsze warunki pracy dyrektora.**

CO Z DYREKTOREM?

To jeden z głównych spornych punktów. Według projektu rządu dyrektora powoływać i odwoływać ma organ założycielski (centralny lub wojewódzki szczebel administracji) za zgodą załogi; rady załogi. Projekt Sieci mówi z kolei, że prawo to należy — w drodze konkursu — do rady pracowniczej. Ponadto samorząd udziela dyrektorowi absolutorium.

W „Majedzie" spytałem najpierw o zdanie dyrektora. Mgr inż. **Ryszard Pijanowski** — od 6 lat na tym stanowisku — jest żywym dowodem ciągłości władzy w fabryce. Na razie więc nie ma wątpliwości, kto tu (jeszcze) rządzi. Dyrektor przeżył wszystkie strajki i trudne chwile przedstrajkowe z załogą.

— **Wybór dyrektora przez pracowników miałby dobre i złe strony** — odpowiada. — **Dobre, bo oznaczałby automatyczną selekcję kadry i ludzie, którzy nie sprawdziwszy się, musieliby — nie mając oparcia w organie założycielskim — odejść. Jeżeli załoga jest zdrowa, ma zdrowe morale, to faktycznie byliby wybierani najlepsi.**

Ale wadą tego projektu jest niedopracowana sprawa uprawnień dyrektora i samorządu. Bo nawet dyrektor wybrany przez załogę musi mieć pewne uprawnienia w zakresie funkcji wykonawczych. Samorząd nie powinien mieć prawa zawieszania niektórych jego decyzji. Bo jeśli zawiesi, a zakład poniesie z tego powodu straty, to kogo obciąży się odpowiedzialnością?

Ta swoboda powinna dotyczyć na ogół spraw drobnych. Dyrektor podaje konkretny przykład: jest ośrodek wczasowy, w którym trzeba zatrudnić ludzi. O tym czy 10 czy 12 osób, powinien jednak decydować kierownik placówki.

— **Dyrektor musi reprezentować poglądy trochę szersze niż punkt widzenia jednego przedsiębiorstwa** — twierdzi dyr. **R. Pijanowski. — Musi zwracać uwagę na ogólne warunki społeczne i gospodarcze. Ale w postępowaniu, w działaniu, powinien być związany z załogą. Dyrektor, który odrywa się od załogi, nie ma racji bytu.**

Od kogo więc powinien zależeć dyrektor? Czy — jak chce minister **Szałajda** — ma być „namiestnikiem państwa"?

— **Mówiąc szczerze, osobiście wolałbym zależeć od załogi** — mówi dyrektor **Pijanowski — Może to wynika z mojego charakteru? Zawsze czułem się związany z tą załogą. Byłem zwolennikiem włączania jej, konsultowania decyzji z szerszym gronem.**

Dyrektor podkreśla dobrą współpracę ze związkami i z Radą Pracowniczą. — **Weszli do niej ludzie bardzo rozsądni, trzeźwo myślący, a nie krzykacze. Każdy problem starają się rozważać z różnych stron.**

Z drugiej strony natomiast usłyszę: — **Gramy z dyrekcją w otwarte karty...**

Dyr. **Pijanowski** może mieć powody do zadowolenia, skoro samorząd kładzie główny nacisk na realizację zadań produkcyjnych i organizację pracy. W tym roku z powodu nowych zamówień eksportowych „Majed" mógł podwyższyć plan. Projekt tego planu przedstawiono Radzie Pracowniczej. Został przyjęty. I nic dziwnego. Fabryka miała zawsze duży udział produkcji na eksport, sięgający nawet 90 proc. „Majed" jest jedyną w kraju i w całej RWPG fabryką produkującą tego typu maszyny. Większość wyrobów idzie do ZSRR, reszta do krajów socjalistycznych i Trzeciego Świata. — **Z tego eksportu zakład żyje** — podkreśla dyrektor. — **A dobra produkcja wpływa na fundusz płac. Gdybyśmy zaniechali eksportu, „Majed" byłby rozłożony na łopatki.**

Reforma gospodarcza mogłaby otworzyć jeszcze większe możliwości. Nie chodzi tu o przejmowanie przez fabrykę zadań centrali handlu zagranicznego. Byłby to zbędny balast. Natomiast reforma powinna zagwarantować przedsiębiorstwom pewien procent z tytułu dochodów eksportowych. Po to, by mogło bez udziału centrali kupować elementy wyrobów bądź wyposażenie zakładów, wybierać dostawców itp. Np. unowocześnienie parku obrabiarek jest koniecznością. Dzisiaj maszyny stawiają fabrykę na pozycji gorszego startu. A poziom techniczny będzie miał — po usamodzielnieniu przedsiębiorstw — duży wpływ na zarobki. Funkcje samorządów będą poważnie ograniczone, jeśli reforma nie wprowadzi choćby skromnej odpowiedzialności przedsiębiorstw za handel zagraniczny, jeśli nie zostanie przełamany tu państwowy monopol. Na razie jednak i „Majed" i inne zakłady, w tych kontaktach wyręcza centrala. Często, niestety, nieudolnie. A zakłady patrzą na to jak przez szyby. I nie mogą nic poradzić. Np. na te stojące z braku detali maszyny.

Na temat dyrektora opinia członków Rady Pracowniczej jest jednoznaczna. — **Jesteśmy za dyrektorem z wyboru. W fabryce powinien spełniać tylko funkcje wykonawcze. Rządzić powinien samorząd.**

— **Rządowy projekt faktycznie unicestwia działalność samorządu, jeśli zakłada, że jest on ciałem opiniującym. I w tym zakresie jest on wsteczny w stosunku do ustawy z 1956 roku** — stwierdza inż. **Mieczysław Gruda. — Co to znaczy, że np. dyrektor może — zgodnie z projektem rządowym — wstrzymać decyzje samorządu „ze względów społecznych"? Powinno obowiązywać go tylko prawo. Dlaczego to jakiś, nie określony w ustawie, arbitraż ma rozstrzygać spory, skoro najbardziej kompetentne są do tego sądy powszechne? Intencją tego projektu jest tylko: jak nie pozwolić na swobodę samorządu, jak ograniczyć jego działanie. Przecież ustawa ma doprowadzić do rzeczywistego uspołecznienia środków produkcji! A projekt proponuje odchodzenie od rzeczywistości socjalistycznej w zakładzie...**

Projekt Zespołu X Komisji do spraw Reformy to nieudolny i rozwlekły regulamin samorządu, a nie rama, w której szczegóły powinny ustalać same przedsiębiorstwa. Jeżeli zbyt wiele spraw zostanie narzuconych z góry, jak KSR, to reforma nie wypali. Taka jest konkluzja i przekonanie moich rozmówców. Coraz zresztą powszechniejsze.

W czasie spotkania leży na stole ulotka **„Samorząd — twój los w twoich rękach".** Ten slogan nie kłamie. Samorząd to nie kolejny kaprys dzieci znudzonych strajkową zabawką. Mam wrażenie, że w Polsce lud po raz drugi przejmuje fabryki. Tym razem naprawdę.

CZY MOŻNA ZAPOMNIEĆ O „INTERESIE SPOŁECZNYM"?

Odpowiedzialność, jaka spadnie na załogi, jest tak wielka, że już teraz w niektórych regionach, fabrykach, budzi opór przeciwko samorządom. Ludzie mówią: Nie czujemy się przygotowani... Dlatego też ustawa powinna prezentować model szeroki, elastyczny i ewolucyjny, jak twierdzą ekonomiści. Samorządu nie można nikomu nakazać.

W „Majedzie" nie chcą chować głowy w piasek. Świadczy o tym lista obowiązków, jaką nałożył na siebie tutejszy samorząd. W regulaminie liczy 16 punktów, wśród nich takie, jak: opiniowanie i zatwierdzanie kierunków rozwoju, rocznych planów i bilansów przedsiębiorstwa oraz programów działania dyrekcji (i kontrola ich wykonywania), zatwierdzanie struktury organizacyjnej zakładu, podział zysku itp.

— **Plan, produkcja, zatrudnienie, wyniki ekonomiczne — to należy do Rady** — wymienia krótko przewodniczący **Maciejewski.**

— **A rola związków, żeby w tym wszystkim nie zginął człowiek** — dorzuca **Stachurski.**

Rolę dyrektora już znamy (wg „społecznego" scenariusza). A państwo? Troszczyć się, by z pola widzenia nie zniknął interes ogólnospołeczny...

To jest poważny zarzut pod adresem Sieci: tworzenie własności grupowej (Sieć już wyjaśniła go za pomocą autopoprawki w projekcie), brak gwarancji dla realizacji celów społecznych... „Na dole" posądzenia te wywołują co najwyżej zdziwienie. Bo jakże to? Czyżby państwo nie miało swoich sposobów oddziaływania na przedsiębiorstwa? A od czego są takie ekonomiczne instrumenty jak kredyty, podatki, cła? A od czego prawo (np. finansowe)?

Mówi inż. **Gruda: — Jestem optymistą i nie obawiam się, że zakłady pójdą na produkcję nieopłacalną społecznie, a przynoszącą zysk tylko załogom. Rynek na to nie pozwoli. Z pewnością natomiast nie będzie tylu nietrafionych produktów. Sygnalizowanie, że konieczna jest ewentualna zmiana profilu produkcji — to także rola banków. A państwo może z kolei podatkiem od dochodów ograniczać zapędy do śrubowania cen przez zakłady, możliwe zwłaszcza wobec braku konkurencji.**

Prawa rynku, presja państwa — to tylko jedna strona. Druga — to ludzka świadomość, umiejętność szerszego, społecznego patrzenia przez załogi. To także warunek niezbędny reformy.

— **Niestety, świadomość nie jest za wysoka** — ocenia przewodniczący KZ „Solidarności". — **Teraz każdy patrzy na czubek własnego nosa. Ale nasz związek musi widzieć te sprawy szerzej.**

— **W naszym zakładzie, podobnie jak w wielu innych, idea samorządności nie jest jeszcze dostatecznie spopularyzowana** — dodaje inż. **Gruda. — Ale i tu, jeśli chodzi o odpowiedzialność załóg, jestem optymistą. Trzydzieści parę lat pokazuje jak ten system był niegospodarny. I nie obawiam się, że samorządy będą gospodarzyły gorzej, bardziej nieudolnie. Sądzę, że lepiej.**

To przekonanie nie jest bezpodstawne. Świadczy o tym choćby krótka historia... wahacza. — **O, ten wahacz, mała rzecz, a pokazuje właśnie jaka jest teraz świadomość** — mówi inż. **Gruda.**

Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych nie produkuje na rynek. A nie powinno tak być. Dlatego w zeszłym roku wymyślono tu, że będzie wytwarzała również... pompki do kół samochodowych. Nowa Rada zakwestionowała ten pomysł, a zamiast pompek, na które nie było zbytu (wyprzedzali tu „Majed" prywaciarze), zaproponowała wahacz do przyczepy samowyładowawczej dla rolnictwa. Podobno 1100 przyczep stoi w kraju z powodu braku tych wahaczy, bo zabrakło dewiz.

Na wniosek załogi „Majed" podejmuje tę antyimportową produkcję. Pierwszą partię wahaczy wysłano już do prób. Ale to dopiero początek. Bo fabryka — twierdzą członkowie Rady — ma duże możliwości produkcji również innych części zamiennych do maszyn rolniczych (m. in. posiada własną odlewnię), które dziś często stoją unieruchomione. Rozwój produkcji na rynek to powinna być kolejna korzyść reformy. Nie tylko tu.

„Majed" mógłby już teraz przejąć tę produkcję od innych zakładów. Ale obecny, przejściowy, stan nie sprzyja znoszeniu barier stojących na drodze do międzyzakładowych porozumień.

SAMORZĄD MA JESZCZE ZWIĄZANE RĘCE

— **W obecnej, nakazowo-rozdzielczej strukturze, my nie jesteśmy jeszcze samorządem. I nie możemy nim być naprawdę, nie chcąc wprowadzać anarchii** — stwierdza **Mieczysław Gruda. — My jesteśmy komitetem walki o samorząd.**

Wiele zakładów tkwi w tym samym uniformie. Dopiero po zdjęciu tego nakazowo-rozdzielczego gorsetu — i to za rok, dwa — ujawni się różnorodność przedsiębiorstw, ich możliwości. Mówiąc słowami **Janusza Maciejewskiego, „fabryki odnajdą się"**, dostosują do potrzeb rynku. Ale i tak przez pewien okres, bez względu na treść ustawy (czy obu ustaw; bo to też jest dyskutowane) będą miały samorządy ograniczone pola działania — z powodów obiektywnych. Weźmy choćby reglamentację surowców i materiałów — jedno z większych zagrożeń dla samorządów w ich „okresie heroicznym". Są tacy, co oceniają, że centralne rozdzielnictwo utrzyma się i 10 lat, przynajmniej na niektóre surowce. Inni szacują, że trzy lata. Tak czy owak trzeba wykluczyć możliwość zniesienia reglamentacji.

I w „Majedzie" brakuje niektórych półproduktów oraz surowców, i tu dobija wszystkich fatalna kooperacja. Inna sprawa, że — jak się tu uważa — wiele zakładów wykonuje dziś niepotrzebną produkcję, marnując surowce. Reforma powinna to ukrócić. I to jest zadanie dla władz, ale nie zjednoczeń — w ich dzisiejszym kształcie — lecz ministerstwa, mającego całościowe spojrzenie na surowcową sytuację w kraju.

W kwestii losu zjednoczeń samorząd w „Majedzie" ma jeszcze dość małe rozeznanie, jak przyznają sami członkowie Rady. Wiedzą jednak, że bardziej potrzebne byłyby fabryce zrzeszenia kooperantów, połączone na zasadzie naturalnych więzi technologicznych, takie, między którymi niemożliwe byłyby np. próby szantażowania się w myśl metody „coś za coś"... Zdaniem dyrektora **Pijanowskiego,** który specjalnie zajmuje się koncepcją nowych zrzeszeń, powinny one jedynie koordynować niektóre funkcje (np. rozwój techniki, inwestycje, ogólne zasady polityki płacowej itp.).

Mnożą się pytania, obawy, wątpliwości... Gdy zaczyna poruszać się kolejne problemy, związane z reformą — nieskończony to szereg! — slogan „Samorząd — twój los w twoich rękach" brzmi jakby ironicznie.. A jednak coraz bardziej zaczyna się wierzyć, że mieli rację robotnicy z Poznańskich Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, gdy podczas strajku wywiesili hasło: **„Samorząd pracowniczy — to przerwanie błędnego koła w gospodarce".** Na razie myśli działaczy obracają się co prawda w gąszczu dotychczasowych przepisów i pojęć. A przecież — w „Majedzie" na przykład — ludzie wierzą, że przepisy muszą się zmienić, i to generalnie...

— **Zakład musi mieć możliwość wyboru i decyzji. Wtedy rządzić będzie czysta ekonomika, a nie ustawy i przepisy, które powinny chronić interes ogólny** — twierdzi **Maciejewski.** A szef „Solidarności" **Stachurski** podkreśla z siłą:

— **Ustawa musi być taka, jaką chcą załogi...**

I to jest pierwszy pewnik. Drugi to ten, że odkładanie nic nie da.

— **I tak musimy to przeżyć** — powiada **Maciejewski. — A im prędzej to przeżyjemy, tym lepiej.**

Wiedzą, że czeka ich wielka próba. Bo jeśli rząd wprowadzi ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie jednocześnie, na przykład 1 stycznia to samorządy znajdą się w sytuacji wrzuconego na głęboką wodę. Niektórzy, bardziej podejrzliwi, widzą w tym nawet celową taktykę władzy, liczącej, że pod ciężarem zbyt raptownie przejętej odpowiedzialności samorządy ugną się i pogubią... A jest faktem ,że nie wszędzie samorządy są tak dojrzałe, jak w „Majedzie". Stąd działacze popierają pogląd (wyrażony np. w ogłoszonym 13 sierpnia w „Życiu i Nowoczesności" scenariuszu Zespołu „9"), że część rozwiązań dotyczących usamodzielnienia przedsiębiorstw należałoby wprowadzić już teraz, w trybie specjalnego dekretu, np. z mocą od 1 września.

Walka o odpowiadającą społecznym oczekiwaniom treść i formę ustaw jest teraz sprawą najważniejszą, choć inż. Gruda twierdzi, że na dobre rozgorzeje ona dopiero z chwilą powstania centralnego organu samorządowego (rozważa się nawet możliwość Izby Samorządowej w Sejmie), który będzie miał wpływ na nasz parlament, treść ustaw, proces legislacyjny etc.

„Na dole" odczuwa się coraz większą społeczną mobilizację. W najbardziej dojrzałych samorządach ludzie chcą być przygotowani na wszystko. Nawet na możliwość pojawienia się zmian od 1 września...

— **No dobrze** — podczas mego spotkania z działaczami Rady Pracowniczej w „Majedzie" pyta w którymś momencie dyskusji jej sekretarz **Józef Dobrowolski** (jedyny zresztą przedstawiciel „branżowców" wśród obecnych). — **Ale czy my będziemy w stanie przejść na nowy system od 1 września? A przepisy, a surowce, cała organizacja materiałowa?...**

Można do tego dodać jeszcze jedno pytanie: — **A ludzie?**

— **Działalność naszej Rady nie przebiega idealnie, bo nie ma ku temu podstaw** — stwierdza jej przewodniczący. — **Większość jest u nas ludzi świeżych, dotychczas nie pracujących społecznie. Dlatego też okres do wejścia ustawy traktujemy jako bazę doświadczeń. Przyglądamy się ludziom, żeby potem — przy wyborach — trafić w odpowiednich. Poznajemy charaktery ludzi, patrzymy, czy będą umieli współpracować z dyrekcją...**

— **Ten wspólnie uchwalony regulamin jest przykładem jak na szczeblu zakładu ludzie i organizacje potrafią się dzisiaj dogadać — dodaje** inżynier **Mieczysław Gruda. — Tak jest nie tylko u nas, ale w większości zakładów. Partyjne, związkowe, samorządowe „doły" dogadują się tam, gdzie to jest najistotniejsze. Ale im wyżej tym gorzej. My, „na dole", oczekujemy więc tego samego od „góry"...**

TOMASZ SOLDENHOFF

„CHŁOP NIE KOCHA ZIEMI"

Dalszy ciąg ze str. 1

włóki czy więcierze, a i sieć zwykła. Przespacerować we dwóch na bosaka pod brzegami, po oczkach i rozlewiskach. I już sieć pełna. Kilogramy ryb. Płocie i karasie, okonie i lipienie, leszcze też się trafiają, a i boleń i szczupak.

— *Miejscowi to mają dobrze, im głód w oczy nie zajrzy. Nie dość, że sami podhodują, to jeszcze natura nie skąpi. Ryby, grzyby, jajka, mleko. Bez mięsa obejść się można* — powiada pan *Kazimierz Kuna*. Ogorzały, barczysty, z gęstą siwą czupryną. Jego metrykalny wiek — 73 lata — odczytać można tylko ze stoickiego spokoju i zmętniałych tęczówek. *Nic tak nie hartuje, jak ciężkie życie i ciężka praca* — stwierdza, napinając tatuaże na silnych ramionach. — *A teraz młodzi, jak kurczaki słabe. Ot, weźmy moją wnuczkę. Przyjeżdża tu na odpoczynek. Czeka więc aż wszystko dziadek zrobi, chociaż dziadek ósmy krzyżyk dźwiga!*

Rodzina ma z dziadkiem *Kuną* dobrze od wielu lat cały sezon letni spędzają w ośrodku campingowym Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych w Księżych Młynach. Dorabia do emerytury jako administrator ośrodka. Klucze wydaje i sprzęt rozlicza, gaz wymieni i kran naprawi. Przede wszystkim zaś stróżuje: spać po nocach nie może, ćmi papieros za papierosem, doglądając domków.

Teraz też jeszcze nie śpi, chociaż północ minęła. Pod rozgwieżdżonym niebem ucina pogawędkę z panem *Romkiem*, który z pełną ryb michą wojuje. — *Żona nie znosi ryb, ani jeść, ani czyścić. Ja lubię!* — orzeka, a spod noża łuski pryskają. Lubi też ryby łowić, że zaś sam wszystkich nie przeje, chętnie rozdaje znajomym. W ogóle jest taki — uczynny i szczodry.

Pan *Kuna* właśnie talerz podstawia pod okazałe, oczyszczone już płocie: — *Ja tam ryb nie lubię, ale wnuczka z chęcią podje!*

Obaj znają się dobrze. *Roman Nowicki* — stolarz z Łódzkiego Kombinatu Budownictwa „Północ" — drugi już sezon spędza w Księżych Młynach. Na oddelegowaniu. Montuje i wykończa nowe drewniane domki. Piękne, obszerne funkcjonalne. Zakup z minionej dekady. — *Aby kraj rósł w siłę, a ludziom żyło się dostatniej* — pokpiwa pan Romek, dodając zaraz: — *Dzisiaj, w dobie kryzysu, nikt już chyba nie będzie inwestował we wczasy. Zresztą, kto? Stare związki zubożały, a nowe inne mają zmartwienia. Ryzyko też za duże, bo i sami ludzie od wczasów się odwracają. Jak się męczyć, to lepiej na własną rękę: pewniej i taniej. Jak wczasy z wyżywieniem, to kartki z głowy, a żarcie i tak kiepskie. Bez wyżywienia — zamiast odpoczynku, wystawanie w kolejkach. Nie wiadomo, co gorsze...*

Także i Księże Młyny dotknął krach zaopatrzeniowy. Kilka ośrodków — m. in. budowlanych i bankowców — na własnym wikcie. Jeszcze w zeszłym roku posiłki sprzedawała ajencyjna garkuchnia nad rzeką. Dziś tylko kolonijne dzieciaki się żywi. No, nie tylko. Lokatorzy z paru namiotów i przyczep, usytuowanych u zejścia na plażę — korzystają z kolonijnego wyżywienia. Na jakiej zasadzie? Czort jeden wie. A stołówka? Był chętny ajent, ale nie dostał zezwolenia na wyszynk alkoholu, więc się obraził.

Do Poddębic — siedemnaście kilometrów, do Uniejowa — tyle samo. Komunikacja państwowa prawie żadna. Własnym samochodem na obiady też nie sposób dojeżdżać, bo to i kosztowne, i kłopoty z benzyną i olejami. W odległym o cztery kilometry Niemysłowie gospody nie ma, zaś nowoczesny pawilon handlowy świeci pustkami albo kłębi się sążnistymi kolejkami, jeśli jest nadzieja na dostawę czegokolwiek. W rytmie i zawartości dostaw nawet miejscowi się gubią a cóż mówić o przyjezdnych. Istna loteria, a tu słońce i plaża.

Pozostaje zatem kulinarna improwizacja oparta o własne zapasy, dowleczone z domu, a uzupełniane na los szczęścia na gruncie miejscowym. Jedyne oficjalne źródło zaopatrzenia, to kiosk spożywczy. Bywa, że pod nim już o dziesiątej wieczór zaczyna się ustawiać kolejka. Zapobiegliwy przychodzą z leżakami i stołkami turystycznymi. Nie, nie po żadne frykasy. Przed wolną sobotą chleb dostać — marzenie ściętej głowy. Nie dla wszystkich czekających po nocy czy o świcie starcza tego chleba, ci wszyscy więc, co wstają o ludzkiej porze, są całkiem bez szans. Po chleb stoją też miejscowi.

— *Panie kochany, w telewizji mówią, że my na wsi trzodę i drób chlebem skarmiamy, bo tani* — użala się jedna z autochtonek. — *Nie wiem, może gdzie indziej, ale nie u nas. U nas, jak wczasowicze zjadą, po chleb całą noc musimy wystawać, a dają góra dwa bochenki.*

— *Po co się męczyć w kolejce?* — wtrąca dotknięta wczasowiczka. — *A nie lepiej samemu upiec?*

— *Paniusiu kochana, a kto tam przypuszczał, że taka bieda nastanie? My piec chlebowy już będzie z pięć lat jak rozebrali.*

Po wsi chleb jednak wypiekają. Cichcem niejako, żeby nie kusić amatorów. Trzeba mieć we wsi układy, żeby wiedzieć, że pani *Stępniowa*, co na samym skraju Księżych Młynów mieszka, chleb dla siebie piecze.

Staruszeczka gospodarzy z synem na paru hektarach. Mieszkają w chałupinie z gliny ulepionej półtora wieku temu. Krytej słomą i wapnem bielonej. W chacie jedna duża izba z niską drewnianą powałą. Z małżeńskim łożem dźwigającym wysoko pękate pierzyny. Ze świętymi obrazami, ledwie majaczącymi w stęchłym półmroku. Reprezentacyjna izba.

Na co dzień służy obszerna kuchnia z glinianą polepą. Właśnie leży tu na stole dorodny bochen. Prawie pięć kilogramów chleba z rumianą lśniącą skórką, bielusieńkiego — z mąki pięćdziesiątki chyba. Świeżość, smak, zapach przez wiele dni.

— *Cztery takie bochny i piąty maluśki* — powiada pani *Stępniowa*. — *Na jeden raz tylko piekę. No, ostatecznie trzy nam starczą. Ile za kilogram? A bo to ja wiem? Piętnaście? Dobrze, niech będzie dwadzieścia. Niech się je na zdrowie.*

Chleb po protekcji. Za rekomendacją. Byle kto, co wprost z ulicy pod strzechę zajrzy, usłyszy sakramentalne: — *Nie ma!* — Wsi generalnie nie zależy na handlowym sojuszu z miastem. Zysk niewielki, a utrapienia wiele. Po co to komu?

Bez tej zarazy przywleczonej z miasta — bez protekcji ani rusz.

Mleko — na przykład — zdobyć można w kiosku czy sklepie, nie za sprawą wytrwałości, lecz raczej przypadku. We wsi nie mniej trudno bo skup kontraktowany. Pani *Jarugowa*, co na wprost ośrodka mieszka, tradycyjnie sprzedaje wczasowiczom. W tym roku — dwadzieścia złotych za litr. A że zawsze więcej chętnych (ludziska dzieciate), niż mleka, trzeba czasem rekomendacji pana *Kuny*, żeby się wcisnąć w grafik. Dziennie wczasowicze zostawiają tu kilkaset złotych, bo litrów 15—20 dziennie idzie do ludzi.

Krów parę sporo też trzody i drobiu. W każdym zresztą obejściu od żywca aż się mrowi. Jak w żadnym roku tyle jest tego. Tak powiadają bywalcy, dodając zaraz, że to nie tylko lokalne zjawisko. Jakiekolwiek jednak zakusy ze strony miejscowych kończą się zazwyczaj fiaskiem. Odpowiedź typowa:

— *Panie, to nie na sprzedaż, dla siebie, dla siebie. My też przecie musimy coś jeść, no nie? Te wasze kartki, to możecie sobie, wie pan... Jak ja mam stać dwa dni po byle ochłap, to wolę kogutka do garnka włożyć albo wieprzka z sąsiadem na spółkę ubić!...*

A że chłopi biją żywiec, jak nigdy przedtem, to fakt. Zdarza się, że po ośrodkach oferują konspiracyjnie rąbankę. Raczej jednak nikt z miejscowych. Oferta wciąż ta sama: cielęcina. Znawcy mawiają, że ten handel obnośny, to wynik podwyżki cen mleka. Cielak dużo mleka potrzebuje. Rolnicy zaś dodają, że owo mleko kupowane przez nich w sklepie po 2,70 za litr, to kolejny wymysł propagandy. Gdyby mogli takie mleko kupić, to nie biliby cieląt. Tak, bo sami wolą wieprzowinę, a miastowe na cielęcinę łase.

— *W Księżych Młynach nie jest jeszcze tak tragicznie* — konstantuje pan *Romek*. — *Ludzie tu się nie znarowili do cna, gdzie indziej bywa znacznie gorzej. Nieopodal jest taka Wólka, gdzie chłop powiada: „Chcesz pan jeść? A dolary pan masz? Naszymi pieniędzmi, to w piecu tylko napalić mogę!". Co się będziemy czarować: chłop nie kocha ziemi, chłop kocha pieniądze! Duże, coraz większe, bo coraz mniej warte. W takiej kryzysowej sytuacji on jest górą. I chce się nachapać jak najwięcej!*

W Księżych Młynach nie jest jeszcze tak tragicznie. Jeszcze na początku sezonu jaj można było kupić. No, może nie na tym brzegu, bo tu wieś przetrząsana regularnie przez rodziny z miasta, ale za rzeką. Promem na drugą stronę. Do *Rosiaków* na przykład.

Obejście potężne. Solidne murowańce. A gospodarze, jak pszczoły pracowici. Stado niosek, kaczki i gęsi, perliczki i kurczaki. O drobiu w ogóle nie ma mowy, a i z jajkami krucho. Żniwa, nie ma zatem czasu na pitraszenie: jajka na patelnię i po kłopocie. A i córka, co w Dobrej w banku pracuje, na sobotę i święta zjeżdża. Zabiera też trochę, bo i im tam ciężko. A poza tym wczasowicze i ci, niedzielni, z koszykami i torbami po okolicy się szwendają, nagabują, podbijają ceny. Wszelkie „nadwyżki" ze spiżarni w mig wyciągną...

— *I nam pewnie przyjdzie żywność z Łodzi wozić. Chleb jemy już tylko łódzki* — powiada pan *Tadeusz Duszkiewicz*.

Państwo *Duszkiewiczowie* od szesnastu już lat ściągają z Łodzi do Księżych Młynów. Przedtem na urlop razem z dziećmi — synem i bratanicą. Teraz, kiedy oboje na rencie, zjeżdżają na cały sezon, od wiosny do jesieni. Od paru lat wynajmują pokój u państwa *Błaszczyków*.

Przywykli do tej wsi. Rozmiłowali się w wiejskich opłotkach, które jeszcze, jak mało już gdzie, trącą skansenem: tu — strzecha mchem porośnięta, tam — spękana ściana glinianej chałupy, ówdzie — podmurówka stodoły z obtoczeńców wapnem spojonych, gdzie indziej — zbutwiałe bele rozchwierutanej drewutni. Wiele tego jeszcze, choć cała wieś coraz gęściej poprzetykana świeżymi murami z cegły i pustaków, poznaczona smolistą papą i szarym eternitem.

— *Ubożuchna to była wioska* — wspomina pani *Duszkiewiczowa*. — *W latach pięćdziesiątych trochę ją ożywili letnicy, których witano tu z otwartymi rękami. Niewiele pozostało z tamtej serdecznej atmosfery. Cóż, również i ten praktyczny, codzienny „sojusz miasta z wsią" różnym kolejom losu podlegał. Pomyśleć, że nasza wieś — ta nasza, polska — chociaż coraz mocniej więzami rodzinnymi sprzęgnięta z miastem, to wynik podwyżki cen mleka. Cielak dużo mleka potrzebuje. Rolnicy zaś dodają, że owo mleko kupowane przez nich w sklepie po 2,70 za litr, to kolejny wymysł propagandy. Gdyby mogli takie mleko kupić, to nie biliby cieląt. Tak, bo sami wolą wieprzowinę, a miastowe na cielęcinę łase.*

Foto: J. Indelak

IDEOLOGIA

PRAGNIENIE I RZECZYWISTOŚĆ KOMUNIZMU

Dalszy ciąg ze str. 1

Na ziemiach polskich **rozpad ustroju rodowego i przejście do społeczeństwa klasowego** dokonało się w wyniku ewolucji ekonomiczno-społecznej w okresie od VII do IX wieku. Upowszechniło się wówczas radło i rolnictwo orne, które wyparło prymitywną gospodarkę żarową i uczyniło zbędną pracę zbiorową. W konsekwencji **pojawiła się własność prywatna**, a wraz z nią nieuchronna polaryzacja na biednych i bogatych. Stopniowo zdobyli przewagę i ukonstytuowali się w klasę panującą właściciele wielkich gospodarstw, zatrudniających ludność niewolną. Ten nowy ład społeczny i polityczny wymagał odpowiedniej sankcji ideologicznej — trzeba było jakoś usprawiedliwić odejście od pierwotnego egalitaryzmu. **Najlepiej nadawało się do tego chrześcijaństwo, które w tym czasie było gotową i dominującą w Europie ideologią feudalizmu.** Wzrost ucisku ze strony możnych oraz narzucanie obcej religii spowodowało w 1037 roku wybuch powstania ludowego. **Gall Anonim** pisał, że buntownicy zabijali **„szlachetnie urodzonych"** i zagarniali ich mienie ,a ponadto porzucili wiarę katolicką i wymordowali księży i biskupów.

CHRZEŚCIJAŃSTWO A KOMUNIZM

W świadomości społeczeństw klasowych trwała pamięć o dawnych wiekach egalitaryzmu i komunizmu. A naturalna skłonność do przemilczania momentów niesławnych i uwielbiania przeszłości sprzyjała kształtowaniu się świetlanego wspomnienia „złotego wieku". Wyobrażano go sobie jako raj utracony — czas pokoju, sprawiedliwości i powszechnego szczęścia. W pewnym sensie wyrazem tęsknoty za takim światem może być fragment Księgi IV „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza, chociaż odnoszący się do przyrody. Czytamy tam, że gdzieś w samym środku gęstwiny olbrzymich puszcz litewskich, gdzie człowiek nigdy nie dociera, znajduje się „królestwo zwierząt i roślin stolica". A w niej życie wygląda następująco:

„Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków ni wojennej sztuki,
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa ni bodzie".

Już w starożytności niektórzy głęboko myślący ludzie dopatrywali się źródła zła i nieszczęść w stosunkach własności. Platon był zdania, że prywatne posiadanie rodzi nierówność społeczną, a ta z kolei prowadzi do wojen. Dlatego w swym idealnym państwie zakładał wprowadzenie wśród grupy rządzącej reżimu komunistycznego. Władcy mieli niczego nie posiadać na własność („tylko własne ciała"). Przewidywał dla nich nawet wspólnotę kobiet i dzieci, gdyż sądził, że również rodzina wytwarza podziały i wzajemną wrogość.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I KOMUNIZM

Ustrój komunistyczny opiera się na dwóch fundamentalnych zasadach: **wspólnoty dóbr oraz podziału według potrzeb.** System taki istniał w pierwszych gminach chrześcijańskich, czemu świadectwo daje Pismo Święte. **Łukasz ewangelista** pisze: **„Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby"** (Dz. 2, 44—45). A w innym miejscu czytamy: **„Nikt z nich nie cierpiał niedostatku, bo właściciele pól albo domów sprzedawali je i przynosili pieniądze ze sprzedaży i składali u stóp apostołów. Każdemu też rozdzielano według potrzeb"** (Dz. 4, 34—35). Kiedy małżonkowie **Ananiasz i Safira**, przystępując do gminy, usiłowali ukryć i zatrzymać dla siebie część pieniędzy uzyskanych za sprzedaną posiadłość — zostali ukarani śmiercią przez **św. Piotra**, co wywołało strach w całej wspólnocie.

Z WODĄ DO MÓŻGU

MAŁGORZATA GOLICKA

Podziwiam profesora **Aleksandrowicza.** Teraz, kiedy wolność słowa niektórzy rozumieją jako wolność obrzucania słowem kogo tylko popadnie, i wszyscy wiemy, kto kogo nie lubi i za co, (materiał, jak znalazł. dla psychoanalityków), wyznam publicznie, iż podziwiam Profesora. Przede wszystkim za odwagę głoszenia poglądów niepopularnych, zarówno wśród części środowiska naukowego, jak wśród przedstawicieli innych profesji. Bo czyż może zdobyć poklask pogląd, że **„ogromna większość trudności społecznych i ekonomicznych, a więc i zdrowotnych ma źródło w zaburzeniach sprawnego myślenia i działania spowodowanych zmianami w strukturze i funkcjach mózgu, a zmiany te uwarunkowane są ekologicznie"?**

Jakże to — przeczą oponenci — my tu o dezintegracji, trudnościach w dostosowaniu się do współczesnego świata, o wpływie ustroju społecznego na osobowość — a pan?

— **Chwileczkę, proszę państwa,** — Profesora nie tak łatwo odwieść od jego przekonań. — **Wiadomo, że powietrze, woda, gleba i poszczególne ogniwa łańcucha pokarmowego człowieka wpływają na czynności różnych narządów organizmu, wciąż jednak nie zwraca się dostatecznej uwagi na to, że wpływom tym ulega przede wszystkim mózg.**

Nie jest to pogląd popularny. Być może, nawet nie w całości słuszny, gdyż przyczyny anomalii społecznych i zachowań jednostki, są bardziej złożone i powodowane nie tylko zanieczyszczeniem środowiska. Nie mniej hasło to, jak również i drugie — autorstwa prof. **Aleksandrowicza: iż zdrowia ludzkiego nie można powierzyć tylko lekarzom**, stanowi przedni zaczyn myślenia i działania. Nie bez powodu Profesor jest laureatem nagrody „Drożdży", przyznanej przez „Politykę" w 1977 roku, za budzenie twórczego, intelektualnego fermentu.

Ekolodzy stawiają wodę, obok powietrza i gleby, w pierwszym rzędzie czynników decydujących o naszym zdrowiu. Łodzianom i mieszkańcom najbliższych okolic ów życiodajny czynnik sprawia niestety najwięcej kłopotu. Już położenie Łodzi jest fatalne — na wododziale Wisły i Odry — i nic tu nie można zmienić. Założyciele miasta nie przewidzieli bowiem tak niesłychanie prężnego rozwoju przemysłowego i demograficznego Łodzi. Co prawda, na pytanie, ile rzek mamy w mieście, niewiele osób odpowie prawidłowo, że aż 18. Przyznajmy też, że mało kto z nas wie, że długość wszystkich rzek w województwie łódzkim wynosi... 550 km. Znajdujemy się jednak w zasięgu klimatu suchawego, ze zmiennymi opadami atmosferycznymi, co także nie wpływa korzystnie na stan naszych wód. Na pocieszenie, posiadamy na terenie aglomeracji sporo wód podziemnych, z których korzystają dziś nieomal wszystkie działy gospodarki i w mniejszym stopniu, z widoczna dla siebie szkodą, mieszkańcy. (Wody ze studni są zwykle znacznie lepszej jakości, niż powierzchniowe).

Wszystko to jednak za mało, wody domagają się mieszkańcy, wody żąda przemysł. Wody tymczasem nie przybywa, lecz ubywa.

Rozwój przemysłu, a także wyjątkowo szybki rozwój Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej (w Łodzi przypada obecnie 3.554 osób na 1 km kw., a w śródmieściu aż 20 tys. osób na km kw.), doprowadził do zniekształceń powierzchni ziemi, zaburzeń w konsystencji gruntu, a także do zmian w stanie wody. Znikają wody powierzchniowe, obniża się poziom wód gruntowych i głębinowych, a wielkie ilości ścieków komunalnych i przemysłowych odprowadzane bez należytego oczyszczania do rzek, zmieniły dwie największe rzeki ŁAM — Bzurę i Ner — w kanały, który wody znacznie przewyższają dopuszczalne w Polsce. normy zanieczyszczeń.

„Gospodarka wodna powinna stanowić zamknięty obwód — twierdzi mgr Jan Diehl, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Miasta Łodzi — **i wymaga całościowego spojrzenia i decyzji podejmowanych przez specjalistów z wielu dziedzin. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mieliśmy okazję stworzyć taki właśnie kompleksowy system zarządzania gospodarką wodną. Do 1972 roku działał w kraju Centralny Urząd Gospodarki Wodnej, którego agendy pracowały w województwach i powiatach. Niestety, urząd ten, na którym wzorowały się sąsiednie kraje, zlikwidowano, a gospodarkę wodną przejęły resorty rolnictwa i ochrony środowiska. W rezultacie działania, które powinna cechować wyjątkowa systematyczność i konsekwencja, ulegały zmianom co kilka lat i nie idą w parze z zaleceniami planowania przestrzennego".**

W dotychczasowej polityce gospodarczej zajmowano się głównie dostarczeniem wody dla Łodzi, co wiązało się z wielkimi inwestycjami. Chodziło tu o wodę z Pilicy, z Warty, a w perspektywie o budowę Kanału Centralnego. Pomysł ten narodził się już w początkach naszego stulecia, i — można powiedzieć — iż został w 2/3 zrealizowany. Wybudowano ujęcia wody w Tomaszowie Mazowieckim i pierwszy etap wodociągu Sulejów — Łódź.

Dzięki temu Łódź pokrywa dziś (co prawda z trudem) swoje zapotrzebowanie na wodę. **Kryzys nastąpi najprawdopodobniej za dwa lata,** jeśli, o paradoksie, miastu nadal przybywać będzie osiedli mieszkaniowych. Wówczas staniemy wobec konieczności rozbudowy II etapu wodociągu Sulejowskiego. **Nieskorelowane działania urbanistów i specjalistów od gospodarki wodnej zbyt często dają o sobie znać.** Ot, choćby taki przykład: w ładnym i dostatnim osiedlu domków jednorodzinnych w Pabianicach (w rejonie ulic Piotra Skargi i Szpitalnej) nie ma kanalizacji, a w niektórych zgierskich domach nie można się napić między godziną 17, a 22 nawet szklanki herbaty, po prostu z braku wody. Za rozbudową miasta nie nadążała bowiem rozbudowa sieci wodnej. Sedno sprawy leży jednakże nie tyle w finansach, ile w braku wykonawców, sprzętu, przedsiębiorstw wyspecjalizowanych w budowie oczyszczalni, czy wreszcie kadry. Absolwenci Politechniki Łódzkiej z Instytutu Inżynierii Środowiska nie mają gdzie pracować, a oczyszczalnie zatrudniają przyuczonych pracowników.

Kompleksowe ujęcie zagadnień gospodarki wodnej wymaga wykorzystania wód powierzchniowych i gruntowych. Istnieją np. niewykorzystane rzeki jak: Linda, Czarniawska Moszczenica, Mrożyca, Miazga, Wolbórka, Piasecznica i wiele innych. Rzeki te mają duże znaczenie dla terenow przez które przepływają i ich wykorzystanie powinno być celem osobnego planu. Tym bardziej, że przemysł łódzki korzystał już w znacznej mierze z tych rzek. Np. na Bzurze były 23 spiętrzenia wodne, na Sokółce — 4, na Lindzie — 5, na Piasecznicy — 11, na Dobrzynce — 7. Dziś z tych urządzeń nic już nie zostało. Rzeki natomiast płyną tak samo jak przed laty.

W zamkniętym obiegu wody kluczowe znaczenie odgrywają ścieki i ich oczyszczalnie. Ilość ścieków, odprowadzanych do Neru i Bzury, wynosi średnio około 9,3 m sześć. na sekundę. Jeszcze raz podkreślmy, że główne zbiorniki ścieków łódzkich, aż na długości 100 km są cuchnącymi kanałami. Dlaczego tak się dzieje? Przyczyn jest tutaj wiele. Wynikają zarówno z owego fatalnego wododziałowego położenia ŁAM, rozbudowanego przemysłu włókienniczego i chemicznego (obie te gałęzie przemysłu zużywają i zanieczyszczają ogromne ilości wody) i tradycji rolniczego wykorzystania ścieków. **Od dawna Łodzi była potrzebna grupowa oczyszczalnia ścieków.** Koncepcję budowy takiej oczyszczalni w rejonie Smulska-Lublinka przeforsowano po długich latach badań, dyskusji i kontrowersyjnych opinii. Koszty budowy szacuje się na około 8 i pół miliarda złotych. **Rozwiązanie to jest jednak bardziej opłacalne ekonomicznie, niż oczyszczalnie ścieków budowane przez poszczególne zakłady.** Pozwala także racjonalnie wykorzystać osady i odpady. Przyjęto bowiem trójstopniowy system oczyszczania ścieków: mechaniczno-chemiczno- biologiczny. Po takim trójfazowym oczyszczeniu ze ścieków powinniśmy uzyskać ponownie czystą wodę. Aż trudno uwierzyć. Grupowa oczyszczalnia ścieków pozwoliłaby także oczyścić Bzurę i Ner. Jesteśmy jednak dopiero w I etapie budowy oczyszczalni. W obecnej sytuacji ekonomicznej kraju nie sposób przewidzieć terminu ukończenia całości.

Specyficznym łódzkim problemem jest również ochrona wód powierzchniowych przed ściekami z kanalizacji deszczowej i przelewów burzowych, gdyż tylko 5 proc. wód deszczowych trafiać będzie do grupowej oczyszczalni ścieków. Wody te **wymagają oczyszczenia** (wbrew naszym wyobrażeniom o czystej, deszczowej wodzie, ścieki deszczowe są bardziej zanieczyszczone, niż niektóre ścieki przemysłowe), gdy trafiają do łódzkich rzek. Na zlecenie Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego opracowano już projekt ochrony rzek przed ściekami deszczowymi. Pierwsze urządzenia tego typu zaczęto budowac w Łodzi na rzece Olechówce.

Całe lata odprowadzania ścieków do wód powierzchniowych doprowadziły do zmian w ich składzie chemicznym. Zawierają one więcej, niż przewidują normy, związków mineralnych, takich jak chlorki, siarczany, magnez i żelazo. Profesor **Aleksandrowicz** twierdzi, iż skład chemiczny wody, którą pijemy wpływa na nasze reakcje emocjonalne i zdrowie psychiczne. Można się z tą tezą zgadzać lub nie. Nie należy jednak jej lekceważyć. Uzmysłowić ją sobie można wtedy, kiedy na przyrodę i człowieka spojrzymy jak na całość. **Idealny to wręcz temat edukacji społecznej.** Tym bardziej, że nauczyciel już jest. Myślę tu o Klubie Ekologicznym. Ostatnie wydarzenia społeczne ujawniły, iż mamy wyraźne skłonności do postrzegania bardziej złożonych zjawisk oddzielnie. Ile lat upłynie zanim posiądziemy umiejętność ogarniania całości?

---

stem, coraz bardziej się od tego miasta oddala. A dzielą, oczywiście, pieniądze...

Nie dopowiada pani *Janina*, że i Księże Młyny dotknął proces „kułaczenia", które tak jaskrawie uwidoczniło się dziś, w dobie załamania całej naszej gospodarki.

— *Skoczył nam teraz chłop do gardła* — rozlega się w kolejce pod kioskiem. Młody, ogorzały wcale nie wczasową opalenizną, człowiek jest pewnie robotnikiem budowlanym. Taki wniosek podpowiada biała smuga na czole, pozostałość po noszonym w czasie pracy berecie. — *Widzi, co się w kraju dzieje i trzyma żywność pod kluczem, aż ceny skoczą do sufitu. A my jeszcze, w każdym publicznym wystąpieniu, padamy przed chłopem na kolana. Wprowadziłbym rekwizycję żywności, jak za dawnych czasów, a za handel i szmugiel — kryminał w trybie nagłym. Zresztą, po co? Nie da rolnik żywności, to nie dostanie nic. Nie tylko traktora, czy węgla, ale nawet głupich gumiaków. Chłop miasta już dziś nie złamie.*

Tokuje młodzian, pewnie usiłując sprowokować kilkoro miejscowych, sterczących cierpliwie w kolejce. Ale oni nie dają się, puszczają zaczepki mimo uszu

Tak samo zareagują w kilka godzin później miejscowe krowy, kiedy ten sam młody człowiek będzie je próbował przegonić z plaży, na którą chodzą z mizernego pastwiska, aby poszukać w wodzie ochłody.

I krowy i ludzie przetrzymają najazd miejskiej szarańczy Tak tej — wczasowej, jak i sobotnio-niedzielnej, zapełniającej dziesiątkami samochodów obrzeże wsi.

Krów zresztą po tej stronie rzeki niewiele. Na tym brzegu, gdzie wieś, same lasy. Pola i łąki za rzeką. Prom więc, to miejscowe „być albo nie być". Uprawy chronią przed powodzią solidne, przedwojenne jeszcze wały. Skoro jednak prom utknie w rozlewisku, chłop tylko modlić się może, żeby woda opadła. Tego roku — na szczęście — prom kursuje niezmordowanie, po kilkadziesiąt razy, od rana do wieczora. Bydło przewozi, wozy ze zbożem i sianem, gromady ludzi.

— *Te pola i łąki za rzeką, to istna udręka* — powiada pani *Błaszczykowa*. — *Od świtu do nocy, godzina za godziną, kilometr po kilometrze. Robota i robota. A wy tam, w mieście, ciągle powtarzacie, że chłop to ma dobrze: może sobie leżeć brzuchem do góry, a wszystko samo mu rośnie.*

— *Tak, a wy ciągle myślicie, że w mieście lekko i słodko, do pozazdroszczenia* — replikuje letniczka — *Osiem godzin się odwali, a potem kino, kawiarnia i spacer. Osiem godzin mordęgi w pracy, a drugie tyle w tramwajach i kolejkach!*

I tak sobie gawędzą, a dialog spokojny i letni, jak wiejskie sierpniowe zmierzchanie. Częstują się stereotypami, które wciąż w obiegu, chociaż nikt im już wiary nie daje. Wszyscy doskonale wiedzą, że i na wsi nie jest tak źle, a w mieście nie jest tak dobrze. Tylko, broń Boże przyznać!

— *Wielka to wszystko lipa* — powiada pan *Romek* — *te nasze wyobrażenia o chłopie, że tak kocha ziemię, że taki na robotę pazerny, taki cholernie oszczędny. Diabła tam, wystarczy iść do lasu!*

W lesie — pięknym, dorodnym — ze dwa lata temu służby leśne przecinkę robiły. Zwaliły pokotem tysiące chojaków, które pokrywają teraz całe poszycie gęsto, że nie sposób między drzewami spacerować. Jeszcze trochę, a gnić zacznie. Na dziesiątkach kilometrów kwadratowych kwintale, tony, znakomitego opału. Pies z kulawą nogą się nim nie interesuje.

Leśnictwo proponowało miejscowym zwózkę tego drzewa. Państwowy cennik nie przypadł im jednak do gustu. Wzgardzili więc ofertą. — *Weźcie zatem dla siebie, na opał!* — też pozostało bez echa. Gdyby chcieli, nie czekaliby na przyzwolenie. Drewno sobie powoli podgniwa, a drzewostanowi grozi degradacja.

— *A drzewa tego starczyłoby, jako opał nie tylko tak zwany bytowy, ale i produkcyjny, na wiele zim dla całej wsi* — stwierdza pan *Duszkiewicz* — *Nikt się po niego jednak nie kwapi. Dziwić się? Jeśli się zważy, że chłop sprzeda gęś i kupi za nią tonę węgla?... Fakt. I w niczym nie zmieni go pytanie: węgiel za tani czy gęś za droga? Nie zmieni też zastrzeżenie, że chłop gęś sprzeda bez trudu, a węgiel musi wywalczyć. Fakt pozostaje faktem, jak bezsprzeczne jest, że marnotrawstwo i niegospodarność zatoczyły krąg szeroki. Nie ograniczają się wcale do miasta, do gospodarki państwowej!*

Marnotrawstwo i niegospodarność... Prom jest ich zaprzeczeniem. Kilka obrotów korbą i rzeka sama napędza wehikuł. Odpowiedni układ stalowych lin uczepiony brzegów i energia rwącego nurtu spożytkowana.

Na promie wczasowiczka, trochę do siebie, trochę w powietrze, potrząsając pustą torbą:

— *Tak samo było z ziemniakami. Nie było, nie było, ceny szły w górę, a na wiosnę w kopcach pogniły. Rolnik chodził i prosił się, żeby wziąć od niego.*

Wieśniaczka, podobnie, trochę do siebie, trochę do swoich krów:

— *Chodzą i płaczą, że jeść nie mają co. A do roboty się zabrać, zamiast ciągiem gadać i strajkować. Rolnik nie strajkuje, tylko haruje, więc ma! I nikt mu nie odbierze.*

Na brzegu pospieszny dialog:

— *A gdzie to, Krycha, tak pędzisz? Wystrojona, jak na zabawę?* — pyta niska kobiecina przepasana szarym od brudu fartuchem. Zfilcowana bluzka z buraczkowej anilany niedbale pocerowana i upstrzona kłaczkami siana. Siano też we włosach, spętanych w koński ogon gumą od majtek. Sino-czerwone spękane i podrapane łydki. Bose stopy w rozdeptanych, złachanych do błotnistej czerni tenisówkach.

— *Do klubu lecę! W kolejkę, podobno szampon przywieźli!* — odkrzykuje rosłe dziewczę w podtartych dżinsach i frottowej bluzce z wizerunkiem tygrysa, obwiedzionym napisem: „Princenton University". Fryzura a la *Trojanowska* i wyrazisty makijaż.

— *Też mi gospodyni!* — sarka kobiecina, poczłapując w stronę wsi, a dziewczyna — biegiem — już daleko. — *Zamiast za robotę się wziąć, tylko by po miastowemu w kolejkach wystawała. Ja tam do kolejki nie muszę, do fryzjera nie chodzę, paluchów nie maluję. A takim, to nic, tylko w kolejkę iść i prosić się, żeby coś dali. Miasta na wsi im się zachciewa. Jeszcze trochę i o kromkę chleba skamlać będzie pod kioskiem!*

W klubie „Ruchu" mroczno. Przed kontuarem niedobitki kolejki, która rozeszła się już do domów, nie wystarczy proszku i szamponu: dostawa nie wszystkich objęła. Niedobitki wykupują ostatnie „Ewiki". Biorą i miejscowi, i wczasowicze.

Na telewizorze kolejne wydanie dziennika. Na tle migawek ze żniw lektor podaje informację o krachu ze sznurkiem do snopowiązałek. Wobec niewydolności krajowego przemysłu trzeba było zaimportować sznurek z Brazylii.

— *Żreć by chcieli* — rozlega się szept w półmroku — *a zwykłego sznurka wyprodukować nie potrafią!*

— *A powróśłem nie łaska?* — szepce ktoś inny. Jeszcze ciszej. Przezorność nie zawadzi, bo w powietrzu jakby coś wisiało.

Kilkaset metrów dalej rzeka szemrze niewzruszenie. Niewzruszenie, jeśli nawet gdzieś tam, w górę jej biegu, jakiś drań znów odkręcił kran z trucizną...

JACEK INDELAK

Komunistyczny tryb życia zalecała też, bardzo ważna w tradycji chrześcijańskiej, najstarsza księga niekanoniczna **„Nauka Dwunastu Apostołów"**, czyli w skrócie **„Didaché"**. W tym anonimowym utworze z końca I wieku znajdujemy znamienne przykazanie: **„Nie odwracaj się od biedaka, ale podziel się wszystkim z bratem swoim; nie nazywaj niczego swoją własnością, gdyż jeśli wszyscy razem uczestniczycie w nieśmiertelności, o ileż więcej w rzeczach znikomych"**. W dalszej części księgi podkreśla się, że każdy chrześcijanin zobowiązany jest pracować i zarabiać na siebie, a jeśli ktoś się od tego uchyla, to znaczy, że **„chce tylko robić interes na Chrystusie; strzeżcie się takich ludzi"**. W pierwszych gminach istniał więc swoisty nakaz pracy i potępiano życie bezczynne. W sposób kategoryczny wypowiedział się w tej sprawie **św. Paweł: „Kto nie chce pracować, niech też nie je"** (2 Tes 3, 10). W późniejszych wiekach zapomniano o tej zasadzie i przypomnieli ją dopiero ideolodzy mieszczaństwa w okresie reformacji

Skąd ów komunizm w życiu społecznym wczesnego chrześcijaństwa? Odpowiedź jest prosta: **było to zgodne z duchem nauki Jezusa Chrystusa, który twierdził, że doskonałość moralna i szczęście nie dadzą się pogodzić z żądzą posiadania i bogactwa.** Służba Mamonie — **bóstwu chciwości i skąpstwa — wyklucza** osiągnięcie spokoju wewnętrznego. W swoich kazaniach wzywał, aby nie gromadzić dóbr materialnych i nie troszczyć się zbytnio o przyszłość, lecz w pierwszym rzędzie służyć innym ludziom. **„Nikt z was** — mówił — **kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem"** (Łk 14, 33). Dlatego **Apostołowie** wyrzekli się własności prywatnej i prowadzili — wraz ze swym **Mistrzem** — wspólną kasę.

Pierwotna orientacja plebejsko-komunistyczna chrześcijaństwa wynikała również stąd, że pierwsze generacje wyznawców składały się z biedoty. **„Chrześcijaństwo** — jak trafnie zauważył **Fryderyk Engels — podobnie jak ruch robotniczy, było w swych zaczątkach ruchem uciśnionych: występowało z początku jako religia niewolników i wyzwoleńców, ludzi biednych i wyzutych z praw, ludów, ujarzmionych lub rozgromionych przez Rzym"**. Na ludową genezę chrześcijaństwa dobitnie wskazywał **św. Hieronim.** Pisał on: **„Kościół nie zrodził się z Akademii, ani Liceum, ale z najmarniejszego plebsu"**. Masy biednych i prostych ludzi wiązały z nową religią nadzieje na radykalną zmianę swego losu, oczekiwały przyjścia Królestwa równości, miłości i pokoju.

Ale dość wcześnie zaczęły przystępować do gmin osoby z klas średnich, a od przełomu II i III wieku także bogaci. Miało to wpływ na stopniowe łagodzenie doktryny socjalnej Kościoła. Aż w końcu — jak pisze **ks. Mieczysław Żywczyński — „Cesarze rzymscy pogodzili się wreszcie z chrześcijaństwem, bo przestało być radykalne pod względem społecznym, przestało być wrogiem porządku społecznego"**. W późniejszych wiekach Kościół odszedł daleko od ideałów swych założycieli; w okresie średniowiecza stał się potęgą ekonomiczną i polityczną, a duchowni wraz ze szlachtą i królem tworzyli klasę wyzyskującą. W tych warunkach nic dziwnego, że duchowieństwo **„ulegało zeświecczeniu i krańcowej demoralizacji"** (**T. Manteuffel**). Kwitły symonia, nikolaizm i nepotyzm. Feudalną drabiną społeczną uznano za wyraz **„porządku bożego"** w świecie. Sugerowano, że stan duchowny pochodzi od biblijnego **Sema**, szlachta od **Jafeta**, chłopi zaś od przeklętego **Chama**. Teologicznym uzasadnieniem wieloszczeblowej hierarchii ziemskiej stała się wizja chórów anielskich Pseudo-Dionizego Areopagity: 1. Serafinowie — Cherubini — Trony, 2. Panowania — Moce — Potęgi, 3. Księstwa — Archaniołowie — Aniołowie.

Tak jawne odstępstwa od filozofii i praktyki ewangelicznej spotykały się z licznymi protestami. Wielu decydowało się na życie klasztorne i pustelnicze, wysuwano hasła odnowy i reformy. W końcu XII wieku dużą popularność zdobyła koncepcja **Joachima z Fiore.** Przepowiadał on rychłe nadejście wielkich wydarzeń i walk, z których wyłoni się nowy świat, a w nim zmieniony Kościół. W pismach swoich i kazaniach głosił — odwołując się do **Pisma Świętego** — poglądy o charakterze komunistycznym. Ostro potępiał własność prywatną i bogactwo. Entuzjastą jego nauk był później **Tomasz Münzer,** który zamierzał drogą walki zbrojnej urzeczywistnić społeczeństwo oparte na wspólnocie dóbr, obowiązku pracy i równości społecznej.

Pierwsze w historii państwo komunistyczne istniało w latach 1610—1768 w Ameryce Południowej. Była to założona i prowadzona przez jezuitów Chrześcijańska Republika Guaranów, zajmująca część terytoriów Paragwaju i Argentyny, licząca przeszło 100 tysięcy Indian. W społeczeństwie tym wprowadzono wspólną własność środków produkcji oraz podział według potrzeb. Ksiądz katolicki, Clovis Lugon, pisze, że „ojcowie po raz pierwszy wcielili w życie sens społeczny Ewangelii". Eksperyment ów był jednak solą w oku hiszpańskich kolonizatorów, gdyż stanowił zaprzeczenie polityki brutalnego wyzysku i eksterminacji (na terenach podbitych przez Hiszpanię zamieszkiwało w początkach XVI wieku blisko 50 mln ludności, a w końcu XVIII wieku zaledwie 16 mln). Toteż tak długo oczerniano i kom-

Dalszy ciąg str. 6 i 7

GOSPODARKA

KONRAD FREJDLICH

TRZECIE PODEJŚCIE

Na długo przed oficjalnym ogłoszeniem kryzysu co światlejsi ekonomiści ostrzegali, że grozi nam katastrofa i to niezależnie od błędów popełnionych przez ekipę kierowniczą. Osiągnięty przez Polskę poziom sił wytwórczych był już na tyle wysoki, że system nakazowo-rozdzielczy stanowił rzeczywisty hamulec jakiegokolwiek postępu. Motor gospodarki pracował coraz częściej na jałowym biegu, czego wyrazem były tak zwane mierniki brutto mające osłonić prawdziwy stan rzeczy. Kiedy budowano Hutę Katowice, mój znajomy przewidział, że może wkrótce zabraknąć żyletek i było to rozumowanie mimo wszystko poprawne, skoro przemysł rozliczany był z kilogramów i ton, z wartości produkcji i sprzedaży, co zachęcało do wytwarzania wyrobów jak najcięższych i jak najdroższych. Fikcyjnemu rozrachunkowi gospodarczemu sprzyjała niewymierność pieniądza. Totalna monopolizacja produkcji zapewniała utrzymywanie cen nie mających nic wspólnego ze społecznymi nakładami uzyskiwania różnych dóbr. Prowadziło to do nierównowagi gospodarczej, spotęgowanej marnotrawstwem surowców i rwania się sieci powiązań kooperacyjnych ustalanej w drodze administracyjnej, a więc bez liczenia się z realiami. Częste przestoje wpływały z kolei na niską obiektywnie wydajność pracy, czego nie należy mylić z intensywnością wysiłku, gdyż mimo miernych rezultatów ludzie pracowali na ogół ciężko, w trudnych warunkach i nerwowej atmosferze. Efektywność gospodarowania była w tej sytuacji pochodną całego splotu uwarunkowań, sprzyjała deficytowi i życiu na kredyt.

Wołanie o reformy było więc coraz powszechniejsze, sprzyjało mu czasowe rozluźnienie cenzury przed VIII Zjazdem partii. Niestety, po Zjeździe wszystko wróciło do dawnego łożyska, krytykę wyciszono odgórnie. Gospodarka zaś coraz bardziej rozdzierana wewnętrznymi sprzecznościami przypominała powoli człowieka chorego na schizofrenię. Elektrowstrząsem, który miał ją na moment przywrócić do świadomości był sierpniowy wybuch na Wybrzeżu.

1.

Wśród dwudziestu jeden postulatów porozumienia gdańskiego, zagadnienia reformy gospodarczej znalazły się na szóstym miejscu, bezpośrednio po żądaniu podania do wiadomości publicznej informacji o utworzeniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. W dosłownym zapisie postulat ten brzmiał:

„Podjąć realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej poprzez: a) podanie do publicznej wiadomości pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej, b) umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestniczenia w dyskusji nad programem reform".

W protokole porozumienia obie układające się strony stanęły na stanowisku konieczności wydatnego przyspieszenia prac nad reformą gospodarczą; rząd zobowiązał się jednocześnie do szybkiego opublikowania założeń tej reformy, która miała uwzględnić problem zwiększonej samodzielności przedsiębiorstw i rzeczywistego uczestniczenia samorządu robotniczego w zarządzaniu. Związkom zawodowym gwarantowano pełną możliwość wypełniania ich funkcji w obronie interesów pracowniczych.

Porozumienie otworzyło drogę do nieskrępowanej dyskusji o zasięgu i kierunku reform. Poluźnienie cenzury umożliwiło sięgnięcie do materiałów nieznanych. Zza grobu przemówił **Oskar Lange**, jeden z rzeczników reform gospodarczych po październiku 1956. Na łamach „Polityki" opublikowano zapis dyskusji sprzed dwudziestu lat, która wówczas nie mogła się ukazać, gdyż poświęcona była problemowi uśmierconego już samorządu robotniczego. W dyskusji tej prof. **Lange** wypowiedział znamienne słowa, które nie straciły nic na aktualności i, jak się wydaje, określiły zarazem wokół czego będzie także współcześnie koncentrować się spór o reformę:

„Można rządzić i bez aktywnego udziału klasy robotniczej. Oczywiście, skutki społeczne, to, co z tego wychodzi — nie są najlepsze. Ale z techniczno-praktycznego punktu widzenia — gospodarka funkcjonuje, produkcja rośnie, dba się o zaopatrzenie rynku — można w zasadzie rządzić i tak. Z drugiej strony jednak wszystkie te zagadnienia rzutują na wydajność pracy, i te powiązania już się ujawniają. Przede wszystkim jednak nie jest obojętne jaka jest baza społeczna tego wszystkiego. Przypuszczam, że w miarę wzrostu dobrobytu te elementy społeczne staną się nawet ważniejsze od tego, czy jest mięso i jaka jest płaca realna. W miarę wzrostu, kiedy potrzeby ekonomiczne są lepiej zaspokajane, uwypuklą się potrzeby statusu społecznego. Na niskim poziomie nie ma co o nich myśleć: każdy robotnik ma pilniejsze kłopoty z wyżywieniem, utrzymaniem itp. Na tle pewnego dobrobytu jednak już chodzi mu nie tyle o to, co ma jeść, ale jaki jest jego status".

Nie ulega wątpliwości, że za rządów **Gierka** poważny odłam klasy robotniczej osiągnął pewien status ekonomiczny. Faktyczna pozycja społeczna tych ludzi była rażąco niska wobec nieustannego naruszania praw pracowniczych przez administrację. W wyniku kryzysu gospodarczego uległ zagrożeniu także status ekonomiczny. Klasa robotnicza zrozumiała szybko, że obronić będzie go można tylko przez nierozerwalne traktowanie spraw bytowych i podmiotowości politycznej. Oznacza to praktycznie, że reformowanie gospodarki, naprawa systemu planowania i zarządzania musiały być poprzedzone reformą systemu politycznego. **Początek tego procesu stał się już naszą rzeczywistością, czego najdonioślejszym przykładem przebieg i rezultaty IX Zjazdu partii, nadzwyczajnego nie tylko z nazwy, i to w skali światowego ruchu komunistycznego.** Gdyby odbył się on wcześniej, problemy reformy wyszłyby już zapewne dawno ze sfery dyskusji w fazę jednoznacznych posunięć gospodarczych. Ale właśnie dopiero demokratyczny charakter Zjazdu przesądził o otwarciu furtki do rzeczywistych, demokratycznych reform osłabiając przeciwników zmian w centralnym aparacie gospodarczym.

Utajonych przeciwników reformy nie brak zapewne także w łonie samej partii, toteż przezwyciężenie dogmatu traktowania gospodarki jako swoistego instrumentu utrwalania władzy politycznej natrafi na niejedną przeszkodę. Ale **z czasem przyjdzie chyba zrozumienie, że gospodarka jest przede wszystkim mechanizmem zaspokajania społecznych potrzeb.**

2.

W czasie, gdy na łamach prasy trwała zacięta dyskusja na temat reformy, złożona z kilkuset osób Komisja do Spraw Reformy Gospodarczej rodziła w bólach dokument znany dziś powszechnie jako „Podstawowe założenia reformy gospodarczej", który ukazał się w styczniu 1981 r. Spodziewano się po nim, że zmieniając system ekonomiczny przedsiębiorstw gruntownie przeorze ustrój ministerstw branżowych w kierunku ich likwidacji, dokona jasnego rozdziału funkcji partyjnych od funkcji rządowych, spowoduje uspołecznienie przedsiębiorstw państwowych, a nawet instytucji i dając podmiotowość załogom stworzy warunki do więzi poziomych między jednostkami gospodarczymi.

Niedyskrecje z obrad Komisji do spraw Reformy Gospodarczej przenikały do opinii publicznej. Nie były to wieści zbyt budujące. Rozlegały się głosy, że komisja redakcyjna przepuszcza rezultaty obrad przez swoisty filtr, toteż zapis problemów odbiega od rzeczywistych postulatów ekspertów. Zapowiadało się, że góra urodzi mysz.

„Solidarność" nie czekając na wyniki pracy wieloosobowego gremium zorganizowała w grudniu ub. r. w Łodzi dwudniową sesję naukową, rozpatrując reformę gospodarczą w kontekście warunków realizacji porozumień społecznych. Mimo udziału w niej wielu wybitnych specjalistów, a może właśnie dlatego, nie udało się osiągnąć jednomyślności zarówno jeśli chodzi o zasięg projektowanych przeobrażeń jak i sposoby ich wprowadzenia. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro już wcześniej zrodziło się kilka wariantów rozwiązań: kompromisowy, i w istocie dość zachowawczy projekt Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego jak też bardzo radykalna propozycja grupy pracowników Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, którą kierował dr Leszek Balcerowicz. W raporcie podsumowującym wyniki sesji zostały wyakcentowane problemy, które z punktu widzenia interesów związku stanowić mają papierek lakmusowy rzeczywistych intencji władz w sprawie reformy. Kwestia pierwsza wiąże się z podziałem dochodu narodowego na akumulację i konsumpcję. Na drugim miejscu postawiono politykę płacową, gdzie jest możliwość mnogości rozwiązań. „Solidarność" zastrzegła sobie w każdym razie wpływ na kształtowanie relacji między płacą najwyższą i najniższą. Z zagadnieniem tym wiąże się ściśle reforma cen. **Opowiadając się za ich racjonalizacją, związek musi działać w kierunku minimalizacji kosztów koniecznych podwyżek, przede wszystkim jednak zachować sobie możliwości wpływu na kształtowanie realnych dochodów ludzi pracy.**

Kolejną kwestią jest racjonalizacja zatrudnienia. Nie jest tajemnicą, że w skali zakładów i całego kraju mamy od lat do czynienia z przerostami etatowymi przy pozornym braku rąk do pracy. Jest to problem szczególnie delikatny wobec wyczulenia naszego społeczeństwa na sprawę bezrobocia, którego nie znamy przez całe dzieje Polski Ludowej. Jak więc pogodzić interes ogólnokrajowy z osobistymi kosztami racjonalizacji zatrudnienia? Z drugiej strony wiadomo przecież, że bez społecznego poparcia reforma nie ma szans powodzenia. I choć rzeczywiste bezrobocie nam nie grozi, **jak skłonić ogół społeczeństwa do akceptacji przemieszczeń siły roboczej z miasta na wieś, z przemysłu do usług, z tych dziedzin gospodarki, gdzie odczuwa się nadmiar rąk do pracy do gałęzi, które cierpią na chroniczny brak pełnej obsady kadrowej?**

Ostatnie zagadnienie wiąże się z kwestią samorządu, zwłaszcza podziału kompetencji między reprezentacją załogi i dyrektorem. Zagadnienie to urosło w ostatnim czasie do rangi pierwszoplanowej przyczyniając się do wzrostu napięcia społecznego zwłaszcza na tle konfliktu w „Locie", który został zażegnany przez rozwiązania tymczasowe, oddalając tylko ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestii.

3.

W lipcu Komisja do Spraw Reformy Gospodarczej ogłosiła kolejny dokument zatytułowany „Kierunki reformy gospodarczej". Jak głosi wstęp do tej publikacji, kolejna wersja projektu reform jest odpowiedzią na krytyczny nurt dyskusji, który towarzyszył ogłoszeniu „Podstawowych założeń reformy gospodarczej". Jeśli tak jest w istocie i tutaj zadziałał swoisty filtr, bowiem szereg rozwiązań stanowi w istocie krok wstecz w stosunku do założeń pierwotnych. Ale jest też wyraźny postęp. **Zamiast ogólnego postulatu, że reforma powinna być realizowana kompleksowo i w możliwie krótkim czasie, wprowadzony został kalendarz zmian.** Ten rozkład jazdy reformy jest pierwszym krokiem w kierunku jej konkretyzacji.

W pierwszej fazie wdrażania reformy opracowany został i wszedł w życie nowy system ekonomiczny Państwowych Gospodarstw Rolnych. Komisja zapowiada projekt uchwały o reformie cen zaopatrzeniowych, której dalsze odsuwanie czyni bezprzedmiotowymi propozycje prof. **Krasińskiego** dotyczące podwyżki cen artykułów spożywczych i związanych z nimi rekompensat. Gotowe są już zasady ekonomiczne drobnej wytwórczości. Przygotowano projekt też o spółdzielniach. Trwają intensywne prace nad koncepcją rozwiązań organizacyjnych podstawowych dziedzin gospodarki. Równolegle pracuje się nad rozwiązaniem problemów planowania, systemu ekonomicznego, zaopatrzenia materiałowego, inwestycji i współpracy z zagranicą, rynku towarów i usług, postępu technicznego. To dowodzi, że komisja mimo wszystko nie próżnuje, choć zapewne nie raz jeszcze będzie musiała wracać do rozwiązań już niby przesądzonych i weryfikować własne ustalenia. Dowodzi tego zaciekły spór jaki rozgorzał wokół projektu dwóch ustaw będących konkretyzacją rozwiązań koncepcyjnych zaproponowanych w „Kierunkach reformy gospodarczej".

Problem nie jest nowy, korzeniami sięga sporów wokół **samorządu robotniczego z pierwszych miesięcy po Październiku roku 1956.** Teraz nabrał intensywności wobec podjętej przez „Solidarność" idei „Sieci wiodących zakładów pracy". Na spotkaniu w Nowej Hucie, w którym uczestniczyli przedstawiciele przemysłowych gigantów z całego kraju, postanowiono opracować alternatywne, społeczne projekty ustaw o samorządzie i przedsiębiorstwach. Zwycięzyła koncepcja przedsiębiorstwa społecznego, którą w największym uproszczeniu da się sprowadzić do zasady, że samorząd sam zarządza przedsiębiorstwem. Dyrektor jest w tych warunkach jedynie

IDEOLOGIA

PRAGNIENIE I RZECZYWISTOŚĆ KOMUNIZMU

Dalszy ciąg ze str. 4 i 5

promitowano działalność jezuitów, aż doprowadzono do ich aresztowania i wypędzenia. Zdecydowanie niechętny jezuitom Paul Lafargue pisał: „Chrześcijańska republika jezuitów budzi zainteresowanie socjalistów z dwóch powodów: Przede wszystkim daje ona dość dokładny obraz społeczeństwa, które Kościół katolicki usiłuje stworzyć. A następnie stanowi ona eksperyment społeczny i to doprawdy jeden z najciekawszych i najniezwyklejszych, jakich kiedykolwiek dokonano". Warto podkreślić, że komunistyczna Republika Guarańska przetrwała ponad półtora wieku!

„Najwybitniejszy z jezuitów — zm. w 1955 r. — Pierre Teilhard de Chardin, doszedł do wniosku na podstawie swoich badań i rozmyśleń, że upadek kapitalizmu i nadejście społeczeństwa bezklasowego jest koniecznością przyrodniczo-historyczną, czynu zgodnym z boskimi prawami wszechświata. Z sympatią odniósł się do Rewolucji Październikowej w Rosji, upatrując w niej początek nowej ery, chociaż ubolewał nad ateizmem programu bolszewickiego. Wierzył, że postęp społeczny prowadzi do takiego świata w którym „oddawano by życie raczej za to, by wiedzieć i być, a nie za to, ażeby posiadać". Nawoływał chrześcijan do aktywnej walki ze złem, twórczej pracy i umacniania pokoju. Gorąco popierał ruch „księży — robotników". Generał zakonu oświadczył mu, że już sam ewolucjonizm w jego teorii stanowi wystarczający dowód, iż jest komunistą.

SOCJALIZM UTOPIJNY A NAUKOWY

Na początku XVI wieku równolegle w czasie powstały dwa dzieła — **Machiavellego „Książę"** i **Morusa „Utopia"** — inicjujące przeciwstawne nurty ideologiczne: burżuazyjny i socjalistyczny. Punktem wyjścia pierwszej pracy było założenie, iż natura ludzka jest niezmienna i od wieków pozostaje taka sama. Natomiast prekursor socjalizmu utopijnego zakładał, że cechy i postawy ludzkie zmieniają się w zależności od ustroju społecznego.

Machiavelli nie miał dobrego mniemania o człowieku. Uważał, że jest on zorientowany na posiadanie, nienasycony w swych pragnieniach i przez to wiecznie niezadowolony, zawistny, niewdzięczny, kłamliwy. Nieszczęścia go „dręczą", dobrobyt zaś „nuży". Wobec tego **zalecał swoim czytelnikom twarde zasady postępowania i pokazywał, że bezwzględnie uczciwi nie mają szans.** Kariery robią ci, co nie wahają się oszukiwać i używać przemocy. **„Mam to silne przekonanie — pisał — że lepiej być gwałtownym niż oględnym, gdyż szczęście jest jak kobieta, którą koniecznie trzeba bić i dręczyć, aby ją posiąść; i tacy, którzy to czynią, zwyciężają łatwiej, niż ci, którzy postępują oględnie. Dlatego zawsze szczęście, tak jak kobieta, jest przyjacielem młodych, bo ci są mniej oględni, bardziej zapalczywi i z większą zuchwałością rozkazują".** Kto chce mieć powodzenie w życiu, musi przystosować własne zasady do panujących w danym czasie, jeśli zaś warunki ulegną zmianie, to trzeba też zmienić zasady postępowania.

W koncepcji **Machiavellego** uderza brutalny realizm, aż autor wydaje nam się być człowiekiem cynicznym i okrutnym. Wyjaśniał on jednak, iż **„sposób, w jaki się żyje, jest tak różny od tego, w jaki się żyć powinno, że kto chcąc czynić tak, jak się czynić powinno, nie czyni tak, jak inni ludzie czynią, ten gotuje raczej swój upadek niż przetrwanie".** Był to punkt widzenia charakterystyczny dla nowej wschodzącej klasy — mieszczaństwa. Świat należy brać takim, jaki jest i dążyć do zmian jedynie w oparciu o realia, a nie pobożne życzenia.

Realizmu tego zabrakło właśnie w różnego rodzaju wizjach socjalistów utopijnych. Ale przeciwstawiali oni istniejącemu światu pociągające i intrygujące ideały społeczne, zmuszając do refleksji nad naturą i genezą zła. Głęboko przywiązany do katolicyzmu (kanonizowany w 1886 roku) **Tomasz Morus** postawił tezę, że źródło zła tkwi w instytucji własności prywatnej. Pisał on: **„Jestem więc mocno o tym przekonany, że zupełne zniesienie prawa własności prywatnej jest jedynym środkiem do równego i sprawiedliwego podziału dóbr i do zapewnienia ludziom szczęścia. Lecz dopóki prawo własności stanowić będzie podstawę ustroju społecznego, dopóty najliczniejszą i najcenniejszą warstwę społeczeństwa stale niepokoić i dręczyć będzie nieuniknione brzemię nędzy i utrapień".** Wszystkie inne sposoby mogą, według niego, tylko złagodzić sytuację, ale nie są w stanie jej usunąć.

Morus, inaczej niż Machiavelli, ujmował istotę człowieka. Był przeświadczony, że **ludzie stają się dobrymi lub złymi w zależności od warunków, w jakich przyszło im żyć.** W idealnym ustroju — jak na baśniowej wyspie Utopii (wspólna własność, brak pieniądza, obowiązek pracy, podział według potrzeb) — ludzie będą lepsi i szczęśliwi. Pewne wątpliwości u Morusa budziła sprawa motywacji pracy w systemie komunistycznym; obawiał się, czy własność społeczna nie będzie sprzyjać lenistwu i nieposzanowaniu władzy. Poza tym nie wierzył, aby udało się przekonać klasę rządzącą do sensowności zniesienia własności prywatnej. Fałszywa świadomość ludzi jest w tym zakresie tak ugruntowana, że chcący ją zmienić prędzej sam postradałby rozum. Można więc sobie jedynie pomarzyć.

Marzenia takie snuło wielu naśladowców: **Campanella, Winstanley, Meslier, Mably, Morelly, Babeuf, Saint-Simon, Fourier, Owen** i inni. Aż dopiero zasadniczy przełom w tej dziedzinie przyniosła myśl marksowska — dając socjalizmowi podstawy naukowe. W 1846 roku **Marks** donosił w liście do **Pawła Annienkowa**, że naraził się wielu ludziom **„drwinami z cielęcego, sentymentalnego, utopijnego socjalizmu".** Autorzy **„Ideologii niemieckiej"** podkreślali: **„Komunizm jest dla nas nie stanem, który należy wprowadzić, nie ideałem, którym miałaby się kierować rzeczywistość. My nazywamy**

organem wykonawczym postanowień samorządu. Konsekwencją tego rozwiązania jest prawo załogi do powoływania i odwoływania dyrektora.

Rozwiązania te stoją w sprzeczności z propozycją rządową, która widzi rolę samorządu pracowniczego we współzarządzaniu przedsiębiorstwem. Taki jest zresztą zapis konstytucyjny. Ale spór nie dotyczy tylko kwestii terminologicznych ani też zagadnień tak zwanej nomenklatury, do której niektórzy chcieliby go sprowadzić. Jest to spór o zasadę.

Profesor **Jan Mujżel** w następujący sposób scharakteryzował różnice między obu projektami:

„Projekt rządowy traktuje dyrektora jako równorzędnego partnera samorządu. W projekcie „Sieci" dyrektor jest organem wykonawczym samorządu.

Różnica druga odnosi się do podziału uprawnień. W projekcie rządowym usiłuje się szczegółowo określić, w jakich sprawach samorząd ma uprawnienia decyzyjne, a w jakich opiniodawcze. Co ciekawe — do tej pierwszej szufladki włożono zatwierdzanie planu przedsiębiorstwa, przy czym wiadomo, że plany te będą budowane tak, jak zechce „góra". W tym kontekście „zatwierdzanie" nie informuje jednoznacznie o faktycznych uprawnieniach. Może się w tym mieścić bardzo dużo i bardzo mało. Natomiast w drugiej szufladce — opiniodawczej, znalazły się tak podstawowe sprawy jak: łączenie przedsiębiorstw, likwidacja, struktura organizacyjna, czy też zawieranie umów długoterminowych. Jeżeli dołączymy do tego uprawnienia dyrektora do zawieszania uchwał samorządu, to w gruncie rzeczy projekt rządowy stawia dyrektora nieomal nad samorządem.

I wreszcie trzecia różnica: projekt rządowy nie przewiduje dobrowolności w przyjęciu przez załogi uprawnień i zobowiązań samorządnego przedsiębiorstwa. Natomiast w projekcie „Sieci" załoga ma się wypowiedzieć, czy chce przyjąć te uprawnienia i obowiązki. Czyli niczego się w tym projekcie z góry nie przesądza, daje się głos decydujący załodze. Projekt rządowy natomiast wszystko chce zadekretować, obojętnie czy to się załodze podoba czy nie".

Ta krytyka projektu rządowego dokonana przez członka Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej wskazuje w każdym razie, że nie panuje tam wcale jednomyślność i zgoda. Szkoda, że zamiast szukać optymalnych rozwiązań systemowych, wysunięto akademicki w gruncie rzeczy problem własności grupowej zaciemniający istotę sporu. Prawdziwe niebezpieczeństwa są chyba inne: oto wciąż jeszcze grozi nam sztywny gorset biurokracji, która niechętnie wyrzeka się swoich zdobyczy. Projekt „Sieci" nie jest zapewne doskonały, wymaga wielu modyfikacji Ale łącznie z projektem rządowym stanowić powinien rzetelny punkt rozważań. Tak zrozumiałem ogłoszony niedawno apel Społecznego Komitetu Reformy Gospodarczej. Ostatnie komunikaty prasowe zdają się wskazywać, że apel ten poskutkował i że jest możliwe pogodzenie dwu rzeczy z pozoru tak przeciwstawnych jak ogień i woda. Byle w tym wzajemnym powściąganiu temperamentów nie wygasł żar samej idei reformy. Jest nam ona potrzebna jak powietrze.

CZAS Karola Adamieckiego

Mirosław Zbigniew Wojalski

„Chociaż rozporządzamy niewyczerpanym zasobem czasu, który sam przez się nic nie kosztuje, jest to jednak jeden z najdroższych „materiałów", jakie zużywamy przy wyrobie produktów przemysłu. Zdawałoby się, że każdy, ktokolwiek zajmuje się pracą wytwórczą, powinien zrozumieć i odczuwać jego wartość, a jednak jeśli bliżej przyjrzymy się gospodarce techniczno-przemysłowej, to zauważymy, że z żadnym innym materiałem lub rodzajem energii nie obchodzimy się tak nieoszczędnie, jak z czasem. Toteż bardzo często, badając przyczyny wysokich kosztów własnych naszych produktów, musimy stwierdzić, że najgłówniejszą z tych przyczyn jest właśnie za duże zużycie czasu".

Warto szczególnie uważnie te słowa sprzed lat niemal 80 przeczytać w Łodzi. Dlaczego właśnie w Łodzi? Dojdziemy do tego, mówiąc o *Karolu Adamieckim*, człowieku, którego obok *Fryderyka Winslowa Taylora* i Francuza — *Freda Tayola*, większość encyklopedii światowych podaje jako twórcę nauki o organizacji i kierowaniu. Zaś słowa cytowane wyżej mógł przeczytać w kwietniu 1909 roku każdy czytelnik *„Przeglądu Technicznego"* — najstarszego polskiego pisma technicznego, założonego w 1866 roku. Pismo zresztą istnieje do dziś, nosząc tytuł *„Przegląd Techniczny — Innowacje"*, bulwersując wielokrotnie swymi publikacjami opinię społeczną nie tylko po sierpniu 80, ale i przed.

Najwcześniejszą wersję opracowanych przez siebie zasad organizacji pracy zbiorowej *Karol Adamiecki* przedstawił w formie odczytu, zresztą w języku rosyjskim. Było to w lutym 1903 roku w Jekatierinosławiu (dzisiejszy Dniepropietrowsk). Tytuł owego referatu brzmiał *„Wykreślna metoda organizowania pracy zbiorowej w walcowniach"*, zaś sam referat wywołał sensację i zażarte spory wśród inżynierów rosyjskich. *Adamiecki* zrozumiał i uzasadnił konieczność uzgadniania pracy urządzeń i ludzi, wprowadzając nieznane przed nim w technice pojęcie harmonizacji pracy w czasie. Ale to jeszcze nie wszystko — *Adamiecki* jest inżynierem z powołania, biegłym organizatorem i analitykiem, wobec czego nadał swej myśli technicznej i wnioskom postać wykreślną. Tak powstał h a r m o n o g r a m — ukochane dziecko wybitnego organizatora.

— Jak to? — zapyta niejeden z czytelników. — Ten znany powszechnie i spowszedniały harmonogram to coś tak skomplikowanego i odkrywczego, że wystąpienie *Karola Adamieckiego* wywołało taki rezonans? A tak jednak było, choć to, co przywykliśmy nazywać w życiu codziennym harmonogramem, nie nazbyt wiele miało wspólnego ze skomplikowanym wykresem zbiorowej pracy, opracowanym na przykładzie procesu produkcyjnego walcowni, której dyrektorem wówczas był *Karol Adamiecki*. Przy tym — rzecz osobliwa i zdawałoby się niezbyt prawdopodobna: *Karol Adamiecki*, już po stworzeniu swojego harmonogramu nic jeszcze nie wie o istnieniu i pracach inżyniera amerykańskiego, *Freda Taylora*, którego świat zachodni uważa za właściwego twórcę organizacji pracy jako dyscypliny naukowej. Nie ulega żadnej wątpliwości — *F. Taylor* swoje poglądy ogłosił w tym samym co *K. Adamiecki* roku 1903, wydając książkę *„Zarządzanie warsztatem"* miesiące po wygłoszeniu referatu przez *K. Adamieckiego*.

Dalej losy *Karola Adamieckiego* i jego zasad naukowej organizacji pracy w Polsce przebiegają różnie, przede wszystkim dlatego, że Polska jest ciągle jeszcze pojęciem z historii i to odległej.

Wybuch pierwszej wojny światowej obudził nadzieję odzyskania przez Polskę niepodległości. W 1915 roku w Warszawie Stowarzyszenie Techników urządziło cykl konferencji, które doprowadziły do zgodnych wniosków, że same bogactwa naturalne i zjednoczony potencjał gospodarczy ziem polskich nie zapewnią odrodzonemu państwu samodzielności, jeśli nie zostanie uruchomiona najważniejsza dźwignia dobrobytu — praca wydajna i dobrze zorganizowana.

Właśnie środowisko techniczne poczuło się najbardziej powołane do propagowania potrzeby pracy wydajnej. Już po odzyskaniu niepodległości inżynier *Piotr Drzewiecki*, przyjaciel *Karola Adamieckiego* i pierwszy prezydent Warszawy, założył stowarzyszenie *Liga Pracy*. Jak się więc okazuje, propagowany nie tak dawno ruch dobrej roboty był już kiedyś wymyślony. Sam zaś *Karol Adamiecki* jest twórcą Instytutu Naukowej Organizacji i Kierownictwa, pomyślanego jako ośrodek rozwijania badań w tej dziedzinie i wdrażania ich zastosowań praktycznych.

„Niestety, naród nasz, odzyskawszy wolność, wolał politykować, niż pracować. Zaczęliśmy robić eksperymenty niezgodne z najelementarniejszymi prawami ekonomii. Deklamowano wprawdzie często na temat „pracy", ale na serio nikt o niej nie myślał. W zacietrzewieniu partyjnym woleliśmy szukać przyczyn pogarszającego się stanu ekonomicznego na prawo i na lewo, aniżeli spojrzeć prosto w oczy prawdzie, która jest jasna jak słońce, że bez pracy wydajnej nie ma dobrobytu".

Te pełne rozgoryczenia słowa napisał *Karol Adamiecki* pod wpływem pełnego niepowodzenia *Ligi Pracy* i konieczności rozwiązania (z braku funduszy) *Instytutu Naukowej Organizacji*, zaledwie po kilku miesiącach jego istnienia.

Inne poglądy *Karola Adamieckiego* bulwersowały jemu współczesnych a i dzisiaj (choć oczywiście nie szukamy w dorobku *Karola Adamieckiego* szczegółowych wskazówek dla postępowania dzisiejszego) zastanówmy się, czy nie wywołują oddźwięku.

„Zważywszy, że przy kierownictwie pracą wytwórczą w przemyśle jest niezbędne wielkie poczucie obowiązków obywatelskich i wielki zasób zalet moralnych, przy kształceniu techników i inżynierów, szczepienie i rozwijanie tych zalet powinno być postawione na pierwszym planie".

„Jeżeli chcemy ubiegać się o rolę kierowniczą w procesach wytwórczych, to musimy dobrze zrozumieć, że najszersza wiedza fachowa będzie czymś wielce ułomnym, jeżeli nie będzie szła w parze z równie wysokim uspołecznieniem kierownika. Człowiek nie posiadający tych zalet niech się nie bierze do ról kierowniczych, bo zamiast przyczynić się do postępu, może bardzo łatwo stać się szkodnikiem społecznym".

Szeroko i owocnie *Karol Adamiecki* występował na arenie międzynarodowych kongresów i komitetów naukowej organizacji. W 1932 roku przyznano *Adamieckiemu* najwyższe odznaczenie *„Plaque d'Or"* („Złotą Odznakę") *„za prace jego od lat trzydziestu na polu naukowej organizacji i za wybitne zasługi, przede wszystkim za opracowanie metody harmonizacji będącej obecnie wraz z metodą Taylora podstawą nauki organizacji".*

Niedługo po śmierci *Karola Adamieckiego* (16 maja 1933) przyniosły wynik jego starania o reaktywowanie i usamodzielnienie *Instytutu Naukowej Organizacji i Kierownictwa* (aż do wybuchu wojny Instytut nie zgromadził środków na wydanie dwóch książek, w których *Karol Adamiecki* zebrał i usystematyzował swój dorobek naukowy; rękopisy obu dzieł zaginęły). Jedno ze wspomnień pośmiertnych w moskiewskim miesięczniku *„Organizacja Truda"*: *„W zeszłym roku umarł Karol Adamiecki. Sam przez się fakt zgonu tego wielkiego praktyka i teoretyka organizacji przemysłowej stanowi wystarczający powód do przeglądu pozostawionej przezeń spuścizny... Są to problemy szczelnego wypełniania dnia pracy, obniżenia kosztów własnych produkcji, organizacji obsługi skomplikowanych urządzeń oraz wyposażenia kierownictwa produkcji w środki wykreślnej analizy i planowania. Jeśli uwzględnimy przy tym, że wzrasta znacznie zainteresowanie wykreślnymi metodami w związku z (...) pogłębieniem metodyki kontroli ciągłej, należałoby wyrazić życzenie, aby w celu bardziej gruntownego zaznajomienia się wydany został zbiór prac Adamieckiego i jego szkoły".*

„Doprawdy, aż dziw bierze, jak mało miejsca zajmowała ostatnio postać Karola Adamieckiego w pamięci naszego ogółu" — dziwił się u progu lat siedemdziesiątych *Tadeusz Kotarbiński*. Na początku lat osiemdziesiątych stwierdzenie niewielkiej popularności postaci *Karola Adamieckiego* można powtórzyć, wszakże już bez zdziwienia. Była tamta dekada bowiem okresem gwałtownej modernizacji wielu gałęzi przemysłu, masowego zakupu licencji i kompletnych obiektów za granicą, a także budowy setek nowoczesnych zakładów wg projektów krajowych. Na tym tle obietnice organizacji, a mianowicie lepszego rozstawienia istniejących sił wytwórczych, obietnice z natury nie dynamiczne, nie zdołały nikogo skusić. *„Karol Adamiecki, współtwórca naukowej organizacji i kierownictwa, musiał w panteonie wielkich Polaków pozostać bezbronnym świętym, którego imienia wzywa się rzadko, lub nie wzywa się wcale"* — pisał *„Przegląd Techniczny"* w 70 lat po debiucie w *„Przeglądzie Technicznym"*.

Ma *Karol Adamiecki* niespodziewane związki z Łodzią. Przy sięgnięciu do jego życiorysu okaże się, że urodził się 18 marca 1866 roku w Dąbrowie Górniczej, ale szkołę średnią kończył nietypową, osobliwą na owe czasy, w Łodzi.

Była nią *Wyższa Szkoła Rzemieślnicza*, zgoła niepodobna do ówczesnych, przeładowanych nauką łaciny i greki gimnazjów „klasycznych" i niepodobna również do późniejszych szkół realnych. Z tej osobliwej szkoły średniej (wbrew nazwie — wyższej), *Karol Adamiecki* wynosi nie tylko poważne podstawy w zakresie matematyki i przedmiotów technicznych, lecz również praktykę w warsztacie szkolnym. Do studiów inżynierskich jest przygotowany lepiej i gruntowniej, niż wielu jego rówieśników. Warto też wiedzieć, że szkołę skończył z najwyższym wyróżnieniem — złotym medalem.

Szkoła ta zaczęła w Łodzi funkcjonować od roku 1869. Była to szkoła sześcioklasowa — 3 klasy niższe przygotowywały do wyższych specjalizacyjnych, opartych na wzorach szkoły włókienniczej w Chemnitz (dzisiejszym Karl Marx Stadt). Jej absolwenci mogli pracować w przemyśle w charakterze majstra czy technika. *Łódzka Szkoła Rzemieślnicza* powstała w miejsce istniejącego gimnazjum realnego (dawnej szkoły powiatowej realnej niemiecko-rosyjskiej) w jej gmachu przy Rynku Nowego Miasta. Później zmieniła nazwę na *Szkołę Rękodzielniczo-Przemysłową*, a nawet zmieniła od 1903 roku gmach przenosząc się na Pańską 115 i gmach ten (ul. Żeromskiego 115) zajmuje do dzisiaj. Zaś ów gmach na Rynku Nowego Miasta — obecnie Placu Wolności — po mocnej przebudowie, to Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. A więc szkoła z takimi tradycjami — obecny *Zespół Szkół Włókienniczych nr 1* — zakończyła swój 111 rok szkolny.

Na zakończenie przytoczmy fragment uchwały Rady Narodowej Miasta Łodzi. — 16 marca br. Rada Narodowa Miasta Łodzi uchwalała: *„odcinek ulicy Służbowej od ul. Rokicińskiej (przy stacji CPN) w kierunku północnym do ul. Maszynowej, przemianować i nadać nazwę: „ul. Karola Adamieckiego" 1866—1933, współtwórca naukowej organizacji pracy. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia".*

Dobry to omen?

---

komunizmem r z e c z y w i s t y ruch, który znosi stan obecny".

Na krótko przed Rewolucją Październikową **Lenin** z satysfakcją odnotował, iż **Marks** nie próbował konstruować utopii i odgadywać **„tego, czego wiedzieć nie można"**. Mimo to przez dziesiątki lat w literaturze i propagandzie mieszczańskiej straszono różnymi — rzekomo marksowskimi — ponurymi wizjami i projektami. Przykładem może być postulat zniesienia rodziny, który wysuwano w kręgach anarchistów i socjalistów utopijnych, a przypisywano komunistom.

Czym różni się marksistowski socjalizm naukowy od socjalizmu utopijnego i chrześcijańskiego? Najważniejsze wydają się następujące cztery rozbieżności. PO PIERWSZE — myśliciele utopijni usiłowali stworzyć dokładny obraz przyszłego ustroju społecznego. W teorii dialektycznej zaś praktyki takie traktuje się jako nienaukowe. Futurologia nie może być nauką choćby z tego względu, że nie ma przedmiotu badania. A ponadto, rozwój nie odbywa się w sposób ciągły (ilościowy), lecz skokami, poprzez zmiany jakościowe. Engels przestrzegał np. przed rozważaniami na temat podziału dóbr w socjaliźmie, ponieważ prowadzi to do utopii. Realistycznie rzecz biorąc, według niego, można przewidywać jedynie okólny k i e r u n e k przemian. PO DRUGIE — dla ideologów utopijnych i chrześcijańskich socjalizm stanowi postulat etyczny, coś, co winno być urzeczywistnione ze względów moralnych lub religijnych. Marksiści natomiast ujmują ten ustrój jako konieczność historyczną. O jego realizacji w pierwszym rzędzie zadecydują wymogi gospodarcze. Własność prywatna zostanie zniesiona nie dlatego, że jest niesprawiedliwa, lecz z racji braku uzasadnienia ekonomicznego (na określonym poziomie rozwoju sił wytwórczych). PO TRZECIE — w refleksji utopijnej zazwyczaj nie uwzględniano klasowego aspektu przejścia do socjalizmu. Zakładano, że całe społeczeństwo zapragnie zmiany ustroju, a nie — jak to jest w istocie — jedna klasa proletariatu. Przez to nie dostrzegano, że sprawą socjalizmu podzieli społeczeństwo i wywoła walkę klasową.

I PO CZWARTE — socjalistów utopijnych charakteryzowało dość naiwne przeświadczenie, że do zmiany ustroju wystarczą: odpowiednia perswazja, propaganda i oświecenie klasy panującej, czyli nie brano pod uwagę konieczności rewolucji społecznej i dyktatury proletariatu.

W 1918 roku Lenin mówił: „Minęły czasy naiwnego, utopijnego, fantastycznego, mechanistycznego, inteligenckiego socjalizmu, kiedy wyobrażano sobie sprawę w ten sposób, że przekona się większość ludzi, pokaże się im piękny obrazek społeczeństwa socjalistycznego i większość stanie na stanowisku socjalizmu. Minęły te czasy, kiedy takimi bajeczkami dla dzieci zabawiano siebie i innych. Marksizm, który uznaje konieczność walki klasowej, mówi: „do socjalizmu ludzkość dojdzie nie inaczej ,niż poprzez dyktaturę proletariatu. Dyktatura — to słowo okrutne, ciężkie, krwawe ,bolesne i takich słów na wiatr się nie rzuca. Jeśli socjaliści wystąpili z takim hasłem, to dlatego, ponieważ wiedzą, iż inaczej niż w zacietej, nieubłaganej walce klasa wyzyskiwaczy nie podda się i będzie różnymi pięknymi słowami maskowała swoje panowanie".

Przywódca bolszewików podobnie, jak Marks, nie wykluczał możliwości pokojowej drogi do socjalizmu, ale uważał ją za mało prawdopodobną. Zdecydowane odrzucenie przemocy znajdujemy natomiast w doktrynie kościelnej, która głosi, że podstawą wyzwolenia człowieka winna być prawda i rewolucja moralna. Ale nie wszyscy działacze katoliccy bezkrytycznie przyjmują to stanowisko: do niektórych z biednych krajów Trzeciego Świata bardziej przemawia wyobrażenie „Chrystusa z karabinem na ramieniu".

NIEKTÓRE SŁABOŚCI DOKTRYNY MARKSISTOWSKIEJ

Marks i jego kontynuatorzy (głównie Engels, Lenin, Gramci, Lukacs) nie byli, rzecz prosta, takimi geniuszami, żeby rozwiązać i przewidzieć wszystkie problemy urzeczywistniania socjalizmu. Szczególnie za mało miejsca poświęcali kwestii rewolucji kulturalnej (obyczajowo-moralnej). W dziełach ich znajdują się oczywiście wypowiedzi na ten temat lecz nie ma rozwiniętej teorii. Trzeba przyznać, że sprawą ta najbardziej doceniana jest w myśli chrześcijańskiej, ale tam z kolei bagatelizuje się rolę interesów materialnych oraz walki jako sił napędowych rozwoju społecznego.

W marksiźmie od początku panowało fałszywe przekonanie, że zmienione struktury społeczno-ekonomiczne i polityczne wytworzą niejako automatycznie nowy typ osobowości, eufunkcjonalny wobec ustroju socjalistycznego. Marks nie rozumiał całej złożoności natury człowieka i przeceniał znaczenie pobudek racjonalnych w działaniach ludzkich, co słusznie wytknął Erich Fromm. Dziś nasza wiedza o człowieku jest nieporównanie większa, a pan[illegible] jesteśmy bogatsi w doświadczenia budowy socjalizmu. Na tej podstawie trzeba wyciągnąć wniosek, że rewolucja kulturalna jest nie tylko równie ważna jak gospodarcza i polityczna, lecz w dodatku trudniejsza do przeprowadzenia. Już Hegel rozumiał błędność założenia, iż „możliwia jest rewolucja bez reformacji". A Max Weber trafnie wskazywał na czynną rolę etyki protestanckiej i „ducha kapitalizmu" w procesie powstania społeczeństwa burżuazyjnego. Moim zdaniem, socjalizm również wymaga swoistej „reformacji", tzn. wytworzenia odpowiedniego — w warunkach społecznej własności środków produkcji — e t o s u g o s p o d a r c z e g o.

Brak nowej moralności pracy rodzi problemy z wydajnością i dyscypliną w przedsiębiorstwach uspołecznionych. Spodziewał się tego Karol Kautsky. I przestrzegał przed stosowaniem przymusu wobec źle pracujących robotników, bo w następstwie powstałby taki sam wrogi stosunek do zakładu socjalistycznego, jaki był do kapitalistycznego. Jedyną słuszną drogą kształtowania właściwych postaw jest — według niego — rozwój edukacji ekonomicznej i demokracji wewnątrzzakładowej.

W świetle współczesnej psychologii efektowna formuła Marksa, że człowiek jest „całokształtem stosunków społecznych" stanowi jedynie część prawdy i nie wyjaśnia całkowicie procesu kształtowania osobowości. W istocie poszczególne jednostki ludzkie są jeszcze czymś więcej. I dlatego nie można, jak to czyni marksizm, upatrywać źródeł zła wyłącznie w sferze intersubiektywnej i ustrojowej, lecz należy bardziej odwoływać się do mechanizmów podmiotowych — ucząc samowychowania i poszukiwania sensu życia.

Zbyt racjonalistyczne ujęcie natury ludzkiej nie pozwalało Marksowi w pełni zrozumieć znaczenia uczuć religijnych. Słynne obrazowe skreślenie: „Religia jest o p i u m ludu" — nie uwzględnia chyba rzeczywistej wielkości pragnień i nadziei człowieka, sięgających świata transcendencji. Nie można bagatelizować faktu, że ludzie lubią „opiumować" swoje życie i zwykle przedkładają fantastyczne złudzenia nad brutalne prawdy. Bohater powieści Mika Waltari „Czarny Anioł" powiada: „Człowiek jest niepoprawnym kłamcą. Wierzy w to, na co ma nadzieję, i uważa za słuszne to, czego pragnie".

Ogromna potrzeba nadziei w życiu ludzkim wymaga ciągłego rozwoju ideałów w budowie socjalizmu. Nie warto za wcześnie ogłaszać, że socjalizm jest już rzeczywistością. Niech lepiej zawsze ideał wyprzedza rzeczywistość i przyświeca tym, którzy ją przekształcają nadając sens ich pracy i życiu.

Stefan Kisielewski twierdzi („Literatura" 1981, nr [illegible]), że nie lubi marksizmu „bo jest naiwny, tłumacząc, że na pewno wygra słuszna sprawa, że zwycięży sprawiedliwość". Jego zdaniem, inaczej ujmuje się tę kwestię w chrześcijaństwie, które mówi tylko o „zbawieniu indywidualnej duszy" a na świecie przewiduje triumf Antychrysta, czyli zła. Autor przyznaje jednak, że obecnie nie akceptuje się tej pesymistycznej perspektywy społecznej, a „polski papież humanista nie mówi dużo o diable".

Trzeba przyznać, że w historii marksistowskiego ruchu komunistycznego wiele było (i nadal jest) bardzo naiwnych, nierealistycznych postaw. Nie oczekiwano, że proces budowy socjalizmu będzie tak trudny i długotrwały. Nawet Marks — jak podaje Franciszek Mehring — „tak wyraźnie widział drogę, że nie doceniał długości tej drogi". Później ta „rewolucyjna niecierpliwość" pojawiła się również u bolszewików oraz w innych partiach marksistowsko-leninowskich. Jest to zresztą nieodłączna choroba wszystkich wielkich rewolucjonistów: pragną n a t y c h m i a s t urzeczywistnić ideał, a gdy napotykają przeszkody, to wówczas sięgają po środki terroru i przemocy. Nie rozumieją, iż w ten sposób kompromitują całą ideę i wywołują w stosunku do siebie nienawiść — uczucie, którego w polityce należy się wystrzegać przede wszystkim.

EDMUND LEWANDOWSKI

BELGIJSKI EICHMANN

Zwolnienie Kurtha Asche, zbrodniarza wojennego odpowiedzialnego za wymordowanie 26 tysięcy Żydów belgijskich deportowanych do Oświecimia, wywołało wielkie oburzenie w Belgii i w RFN. Oto co pisze Patricia Clough na łamach THE TIMES.

Kurth Asche, odpowiedzialny za zamordowanie 26 tysięcy Żydów belgijskich deportowanych do Oświęcimia i za tę zbrodnię skazany na siedem lat więzienia, został 7 lipca zwolniony przez trybunał w Kilonii. Ten człowiek, którego w czasie rozprawy sądowej nazywano belgijskim Eichmannem, ma obecnie 72 lata. Zwolniono go, ponieważ nie zachodziła obawa, że może uciec. Jednocześnie zatwierdzono poprzedni wyrok.

Prokurator, adwokaci, 49 osób skarżących i przedstawiciele obrony zapowiedzieli apelację.

Dr Rudolf Dann, przewodniczący kompletu sędziowskiego oświadczył, że żaden wyrok nie może być proporcjonalny do rozmiarów zbrodni Kurtha Asche ani też nie może stanowić rekompensaty za to, co zrobił. Gdyby Niemcy mogli odrobić to co się stało w przeszłości, sądy nie byłyby do tego odpowiednim terenem. Sędzia dodał, że wyrok jest jedynie symboliczny, jest wyrazem jawnej dezaprobaty sądu dla czynów popełnionych przez oskarżonego.

Siedząc pod zakurzonym posągiem Sprawiedliwości z wagą w jednej ręce i z mieczem w drugiej, dr Dann na pewno głęboko zdawał sobie sprawę z ogromu znaczenia sprawiedliwości zachodnioniemieckiej w obliczu zbrodni ludobójstwa. Przewidział też zapewne, że wyrok wywoła gwałtowne protesty. Gdy tylko przebrzmiały ostatnie słowa sentencji wyroku w poczekalni wybuchła wrzawa. Byli więźniowie Oświęcimia i ludzie których rodzice i krewni zginęli w komorach gazowych, głośno wyrażali swe oburzenie. „To wielkie świństwo!" — wołała pani Miriam Wald, była więźniarka z numerem obozowym wytatułowanym na ramieniu. „To skandal!" — protestowała pani Sophie Rechtman, której matka, babka i inni krewni zginęli w Oświecimiu. „To jest zniewaga dla zmarłych, dla Żydów i dla narodu niemieckiego. Niemożliwe, aby ten zbrodniarz opuścił salę sądową jako wolny człowiek" — dodała pani Rechtman.

Sędzia Serge Klarsfeld, który wraz ze swą żoną Beatą odegrał wybitną rolę w ściganiu zbrodniarzy wojennych, oświadczył, że jest zadowolony, i że wyrok jest sprawiedliwy. „To był uczciwy proces" — powiedział sędzia Klarsfeld.

Szara twarz Kurtha Asche, o ostro zaznaczonych rysach pozostała kamienna zarówno przez cały czas trwania procesu, jak i w momencie ogłoszenia wyroku. Obserwatorom trudno było niekiedy skojarzyć sobie tego spokojnie wyglądającego emeryta w porządnym, szarym garniturze z potworną wizją zbrodni opisywanych przez świadków.

Proces Kurtha Asche est ostatnim z wielu procesów „morderców zza biurka", czyli funkcjonariuszy SS, którzy jednym pociągnięciem pióra wysyłali tysiące Żydów na śmierć, chociaż osobiście nie zamordowali żadnego z nich.

Kurth Asche był szefem urzędu do spraw Żydów niemieckiej policji bezpieczeństwa w Brukseli i był odpowiedzialny za rejestrację, ściganie i deportację Żydów do obozów śmierci. Poprzednio na ławie oskarżonych zasiadło dwóch innych podsądnych — Ernst Boje Ehlers i dr Konstantin Canaris, bratanek admirała o tym samym nazwisku. Obaj ci pułkownicy SS byli w różnych okresach szefami policji bezpieczeństwa w Brukseli i bezpośrednimi zwierzchnikami Asche. Ehlers popełnił samobójstwo przed rozpoczęciem procesu a 74-letni Canaris został uznany za zbyt chorego, aby mógł stanąć przed sądem.

Od czasu wszczęcia procedury sądowej minęło 18 lat. Dochodzenie rozpoczęło się późno i toczyło się powoli, wiele też czasu stracono na apelacje, gdy poprzedni sąd odmówił sądzenia Asche pod pretekstem, że dowody nie są dostatecznie przekonywające.

Sędzia Klarsfeld i jego żona przyspieszyli procedurę dostarczając dokumentów i organizując akcje protestacyjne (m. in. zdemolowano mieszkanie Ehlersa), aby zwrócić uwagę opinii publicznej na niedopuszczalne opóźnienia.

W toku procesu Asche cały czas twierdził, że odgrywał w Brukseli mało znaczącą rolę, że jego zadanie polegało głównie na przeglądaniu i weryfikowaniu starych dokumentów i że w ogóle nie miał pojęcia o tym, iż Żydów wysyłano na śmierć. Sądził, że wysyła się ich po prostu do obozów pracy. Sąd natomiast ustalił, że Asche miał nadzór nad wszystkim co dotyczyło ścigania i deportacji Żydów i że musiał wiedzieć, dokąd się ich wysyła.

Świadkowie niemieccy i żydowscy, którzy w owym czasie przebywali w Brukseli, zeznali, że wiedzieli, bądź też domyślali się dokąd jadą. Skoro ci niewtajemniczeni ludzie wiedzieli, tym bardziej musiał o tym wiedzieć szef urzędu do spraw Żydów, który sprawy deportacji omawiał z głównym katem Żydów, Adolfem Eichmannem.

Zdaniem sądu, Asche był tylko jednym z drobnych trybów wielkiej machiny zagłady. W latach 30tych był bezrobotny i wstąpił do partii hitlerowskiej nie z przekonania, lecz w nadziei, że w ten sposób znajdzie pracę.

Dalszy ciąg ze str. 1

— parę drzew owocowych, kwiaty. Gdyby trafił się gość z głową do interesu, mógłbym tam nawet postawić szklarnię. Basen także można wybudować. Kto wie, czy sąsiad-inżynier nie zechciałby partycypować w kosztach.

Zapytałem:

— *To bardzo dla mnie pochlebne, ale nie przypuszczasz, że ja właśnie mógłbym kupić ten dom?*

— *Nie masz pieniędzy?*

— *Chryste Panie! Tyle!? I po diabła w ogóle chcesz go sprzedać?*

— *Nie potrzebne mi tak duże mieszkanie. Widzisz, odeszła ode mnie żona, więc teraz wolałbym wynająć sobie jakiś sublokatorski pokój w śródmieściu...*

Żona! Kiedy po kilku latach lepszego czy gorszego pożycia zostajesz nagle sam, masz prawo pogrążyć się w apatii. Kiedy jednak zestroiłem to nieszczęście z jego wyglądem, pomyślałem: czegoś tu jeszcze brak. W tej twarzy i w tych oczach: podkrążonych, czarnych, wygasłych, kryło się daleko więcej.

W trakcie dalszej rozmowy, kiedyśmy weszli do bistra na herbatę, przyznał, że chorował ostatnio na ciężkie zapalenie oskrzeli. Był w dość kłopotliwej sytuacji, gdyż nie miał nikogo do pomocy — śniadania, to jeszcze głupstwo, ale na obiady musiał wychodzić do miasta z gorączką.

— *No, dobrze, a dzieci?* — Przypomniałem sobie odległy w czasie wieczór; stawiał wódkę przypadkowym gościom w Spatifie, wychwalając się na głos, że właśnie przed godziną został szczęśliwym ojcem. Syn bodajże. Powinien mieć teraz co najmniej czternaście lat.

— *Piotr?* — Słowo przecisnęło mu się się przez krtań zniekształcone.

— *Tak. Twój chłopiec.*

— *Nie widziałem go od wielu miesięcy. Wiesz, jak to jest: rozwód, a potem walka o dziecko. Powtarzała mu widocznie — ojciec zły, ojciec podły, ojciec pije zamiast łożyć na ciebie...*

Znowu spojrzałem w tę twarz i w te oczy, i znowu pomyślałem: mało! Krótko mówiąc — nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który wyglądałby tak niesamowicie. Gdzieś głęboko, w otchłani źrenic, czaił się koszmar. Dramaty rodzinne, choćby największe, nie potrafią tak zniszczyć człowieka.

— *Nie masz brata, siostry?* — zapytałem.

— *Nie.*

— *A rodziców?*

Westchnął.

— *Ojciec zmarł ostatniej zimy, a matka cztery tygodnie temu.*

— *Mój Boże! Rzeczywiście straszliwa passa.*

Założył nogę na nogę: tanie, bawełniane, opadające na kostkę skarpetki i para mocno sfatygowanych półbutów. Dawniej ubierał się jak piąty lord, jedwabne koszule, kolorowe apaszki pod szyją... Był przecież zamożnym grawerem w znanym łódzkim zakładzie.

Pociągnąłem nieśmiało:

— *Pracujesz gdzieś?*

Potrząsnął głową.

— *Widzisz, kiedy wróciłem z Ameryki, dowiedziałem się, że akurat przed paroma dniami odbył się pogrzeb mojego pryncypała. Pamiętasz go?*

— *Taki siwy, z brodą?*

— *Aha. Rodzina sprzedała lokal, zmiana szyldu, no i zostałem na lodzie.*

— *I co? Nie próbujesz się gdzieś zaczepić?*

— *Jako grawer nie mam raczej szans.*

— *Dlaczego?*

— *Och, to już zawód przeszłości. Wziąłbym raczej jakąś szatnię.*

— *W restauracji?*

— *Tak.*

— *Nie będzie łatwo. Szatnie to przecież biznes inwalidów, a ty nie jesteś inwalidą.*

— *Mylisz się. Jestem. Jak chcesz, to ci coś pokażę. Ale nie tu. Płacimy?*

Wróciliśmy na Piotrkowską i kiedy weszliśmy do pierwszej bramy, zdjął marynarkę i podciągnął do góry koszulę.

Pomyślałem: nie, to nieprawda! Zbudziłem się w samym środku koszmarnego snu! Nieprawda, aby ktoś mógł wyżyć, otrzymawszy tyle ciosów!

I nie mówię tu o ciosach losu, które padały jeden za drugim z morderczą bezwzględnością: strata żony, obojętność dziecka, śmierć ojca i matki, zgon pryncypała, choroba, brak pracy i związane z tym ubóstwo. Mówię o ciosach w sensie dosłownym. Ciało człowieka, od bioder po ramiona, pokryte było bliznami. Zobaczyłem dwa cięcia pooperacyjne, zszyte przez kogoś z mistrzostwem. Reszta nie budziła wątpliwości: noże.

2.

Od razu, w tej samej bramie, tak jakby nie chciał tracić czasu na szukanie odpowiedniejszego miejsca, opowiedział mi historię czterech ostatnich lat swojego życia.

Najpierw pojechał do Włoch, gdzie mimo usilnych starań nie udało mu się znaleźć pracy w zawodzie. Znajomy poradził mu: *„Spróbuj w Wiedniu, skontaktuj się z Caritasem. Oni tam potrzebują Polaków."* No więc zrobił tak. Przesiedział w Austrii rok bez mała w lepszych i gorszych warunkach, nie na dworcu jednakże ani w parku, gdyż w tym czasie nie było jeszcze w Wiedniu takiej ilości Polaków, że to ani dla nich miejsca w domu, ani w stołówce.

No Nowego Jorku, jako delegowany przez Caritas działacz katolicki, przyleciał pełen najlepszych nadziei — do dziś nosi przy sobie wyrysowany plan, jak dostać się z lotniska do Quins Plaza, tam złapać „Subway" GG i wysiąść w Green Point, gdzie na każdym kroku czekają już na przybysza polskie szyldy, polska, aczkolwiek dziwna, mowa i polskie instytucje religijno-kulturalne, takie na przykład, jak Centrum Słowiańskie czy kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki.

Zaczął poznawać dzielnicę. Nie była to zresztą typowo polonijna enklawa — tłum na ulicach mówił wieloma językami, roiło się od Latynosów i Włochów. Tak czy owak, rodaków nie brakowało; w niektórych lokalach, szczególnie w soboty i niedziele, rozbrzmiewały krakowiaki i mazurki.

Gdyby Maciej Szczęsny grał na jakimś instrumencie albo śpiewał, jego nowojorska egzystencja nabrałaby zapewne rumieńców. Muzycy, którzy przyjeżdżali tu z kraju na kontrakt, nie mogli wprost opędzić się od Polonusów, którzy porywali ich po występach w klubie czy restauracji do swoich domów — sute kolacje, popijawy, nieraz zwitek dolarów wciśnięty dyskretnie w łapę. Były także różne oferty matrymonialne — co tam będziesz wracał do Polski! Za bidą tęsknisz? Do kolejki cię pędzi? Zostań! Ożeń się, nie zaznasz głodu. Że masz kobitę i dzieci? Człowieku, rozwód zawsze można załatwić. Przez telefon. U nas, bracie, nie ma rzeczy niemożliwych.

Foto: Archiwum

Powrót Macieja Szczęsnego

Szczęsny jednak nie był muzykiem. Żył skromnie w wynajętym u wdowy pokoiku — stół, dwa krzesła, otomana, okno wychodzące na mur sąsiedniego domu, zlew i kawałek lustra w korytarzu, gdzie golił się co drugi dzień bez entuzjazmu. Bez entuzjazmu wychodził również wieczorami na spacer; doskwierała mu samotność. Rozmowy i dyskusje z krajanami szybko zaczęły go drażnić, tym bardziej, że przeważająca większość tych ludzi nie grzeszyła bynajmniej nadmierną inteligencją — ich poglądy polityczne i wiedza o stosunkach w starym kraju były wstrząsająco prymitywne, a przy tym wszystkim wygłaszane z taką pewnością siebie, że najmniejszy sprzeciw powodował niechęć albo zerwanie znajomości. Niby katolik — przebąkiwali na boku — a wciska nam komunistyczną propagandę; trzeba uważać, bo wezmą się za nas chłopaki z Wydziału Śledczego.

O swojej działalności religijnej w Stanach Szczęsny mówi niechętnie. Ot, wygłaszał najczęściej pogadanki o życiu i posłannictwie Jana Pawła II: temat wdzięczny i niewyczerpany, wysłuchiwany ze wzruszeniem tak przez starych jak i młodych Polonusów. Biografię Papieża Maciej Szczęsny zna ze wszelkimi szczegółami; potrafi przedstawić ją zajmująco, sugestywnie, tak jakby osobiście uczestniczył w wielu relacjonowanych wydarzeniach. Nie będąc zatem kapłanem, traktowany był przez niektórych krajan ze czcią przynależną duchownemu. Ten i ów zdjął nawet przed nim czapkę na ulicy, na obiad go jednak nie zaprosił, jako że „księdzu" przystoi asceza — ani z takim pożartować, ani wypić, a Szczęsny na jedno i drugie miał nieraz szczerą chęć.

W rok mniej więcej po wylądowaniu w Nowym Jorku spotkało go to najgorsze. Mówi:

— *Wracałem ze spaceru, trzeźwy, choć gdzieś tam po drodze, w barze, przechyliłem ze znajomym elektrykiem dwa kieliszki. Była jesień. Wczesny wieczór. Wszedłem w przesmyk między dwiema wyludnionymi, przeznaczonymi do rozbiórki kamienicami, aby skrócić sobie drogę do domu. Minąłem jakiś śmietnik, na którym żerowały koty i wtedy zobaczyłem tych trzech. Pomyślałem: Portorykańczycy. Nie przeraziłem się. Podeszli tak, jakby chcieli poprosić o ogień, albo zapytać o godzinę. Mieli nieruchome twarze, bez jakiegokolwiek wyrazu, patrzyli mi prosto w oczy. Dwa pierwsze pchnięcia ledwo poczułem, bo żołądek jest słabo unerwiony. Dopiero za trzecim, kiedy opuściłem głowę, dostrzegłem plamy wilgoci na swetrze i błysk stali, która wysuwała się z mojego ciała. Chciałem powiedzieć: — Ludzie, to jakaś pomyłka! — Ale nie mogłem wydobyć głosu. To, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, to ta ich straszliwa obojętność. Ani śladu gniewu czy złości, żadnych nerwów. Beznamiętne maski chirurgów, którym przyszło wykonać banalny zabieg. Wciąż patrzyli mi w oczy i kłuli klatkę piersiową. Upadłem. Ale nie straciłem przytomności. Byłem pewien, że teraz ściągną mi z ręki zegarek i obrączkę oraz przeszukają kieszenie, w których miałem pięćdziesiąt parę dolarów. Żaden z nich nie wykonał jednak takiego gestu. Dźwignęli mnie do pozycji stojącej, oparli plecami o mur. Któryś uniósł mi wprawnie powieki, a inny przystawił do oczu latarkę. Musieli widocznie stwierdzić, że kołaczą się jeszcze we mnie resztki życia, bo wtedy otrzymałem ten ostatni cios. W serce. Znowu padłem, ale i tym razem zachowałem przytomność. Byłem wystarczająco osłuchany z hiszpańskim, aby zrozumieć, że mówią o samochodzie: Ramonos, ramonos. Coche. Po diabła im jeszcze wóz? — myślałem, kiedy w dwie-trzy minuty później zobaczyłem w zaułku reflektory ogromnego cadillaca.*

Mimo ran, z których waliła krew, nie opuściła mnie wola życia. Obok śmietnika był w ścianie otwór jakiejś piwnicy. Gdybym zdołał stoczyć się w nią, w tę ciemność, zmarłbym przynajmniej spokojnie, całą sprawę dokończyłyby koty. Dzieliło mnie od niej pięć, może sześć metrów. Tak blisko i tak daleko! Jak to przy podziurawionych płucach, nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu ręką. Ponieważ leżałem na wznak, zacząłem pracować samą głową, tyłem głowy, odczołgując się za każdym jej poruszeniem kilka centymetrów. Wiem, że było to beznadziejne, z góry skazane na klęskę. A jednak walczyłem. Pewnie dlatego, że wiedziałem już, o co chodzi. Nie zabrali mi pieniędzy i zegarka, a więc są dostarczycielami zwłok — zamierzają mnie sprzedać na kawałki. Moje zwłoki trafią do jakiejś makabrycznej, dobrze zakamuflowanej kliniki; zbrodniarz z dyplomem lekarza wypreparuje ze mnie żyły, na które czeka już, być może, w drugim końcu świata jakiś umierający bogacz, którego własne żyły, pokłute i zwapniałe nie przyjmują już żadnych kroplówek i zastrzyków. Trzustka i wątroba, jeśli tylko będą zdrowe, też się przydadzą — są sposoby, aby przesłać je błyskawicznie w pojemnikach do legalnych szpitali w tym czy owym mieście. Reszta pójdzie na granulki. Będę sprzedawany w kuleczkach różnym sektom religijnym, szczególnie hinduskim, od których roi się na terenie Stanów. Będę leżał w pudełeczkach na zapleczu drogerii i sklepów. Będę wydalany z ludzkim kałem w wytwornych toaletach i cuchnących latrynach. Może i jest to pewien rodzaj nieśmiertelności, mnie jednakże bardziej obchodziła zwykła śmierć, choćby anonimowa, bez trumny, bez pogrzebu. I dlatego właśnie wykonywałem to bezsensowne ruchy głową wykrwawiając się od wysiłku.

Jakże spokojny potrafi być człowiek w godzinie śmierci! Nie bałem się. Nie rozmyślałem o swoim minionym życiu. Nie pojawiły się przed moimi oczami żadne obrazy z dzieciństwa, żaden skrócony film wydarzeń od początków pamięci aż po jej kres. Jeśli walczyłem, to jedynie w tym celu, aby mieć świadomość, że zrobiłem wszystko, co można było zrobić.

Ostatni szczegół, który zanotował mój skołatany mózg, to ciemność, jaką zostawiły po sobie uciekające reflektory i pisk opon na zakręcie. Dwóch ludzi pochyliło się nade mną. Widząc ich zatroskane twarze pomyślałem, że teraz mogę już umrzeć bez obaw. Jak się później okazało, był to patrol policyjny, który przypadkiem zabłądził w tamte strony.

3.

Przetransportowany do szpitala w stanie agonalnym, trafił od razu na stół operacyjny. Kiedy odzyskał przytomność, był już starszy o cały miesiąc. O tym, że przez kilkanaście dramatycznych godzin znajdował się w stanie śmierci klinicznej, powiedziano mu dopiero później. Okrągły rok przeleżał w szpitalu na koszt miasta Nowy Jork. Morderców złapano, nie chce jednak o tym mówić. Nie interesuje go nawet, jakie otrzymali wyroki, świadom, że ich mocodawcy, prawdziwi zbrodniarze, znajdują się na wolności — w swoich luksusowych willach, ze szklanką dobrej whisky w ręku; nie jeden z nich uchodzi pewnie w opinii pacjentów za dobrodzieja ludzkości.

Przeżyty dramat nie był jedynym powodem, dla którego Maciej Szczęsny postanowił nagle wrócić do Polski, i to akurat w momencie, kiedy „zaczęło się dziać". Nie stanowi zresztą pod tym względem wyjątku — znam wielu takich, którzy ku zaskoczeniu rodzin i znajomych, przybyli do kraju na najgorsze, po to, żeby stanąć w kolejkach i podstawić solidarnie pod plecy ciężar, który dźwiga na sobie cały naród.

Tyle, że na Macieja Szczęsnego nie czekał nikt na lotnisku, nikomu na jego widok nie stanęły w oczach łzy wzruszenia. Wpadł z jednego osamotnienia w drugie, z jednej wielkiej tragedii za oceanem, w pasmo innych wielkich tragedii w kraju.

Do relacji tej celowo nie dorobiłem żadnej ideologii, że to niby tak źle na Zachodzie, za każdym rogiem czeka na ciebie oprych z nożem. Nie szukałem również analogii z filmem „Coma", który jest jednym z najohydniejszych obrazów, jakie widziałem w życiu. Rzecz jasna — przypadek Macieja Szczęsnego uwiarygodnia w pewnym sensie ten obraz. Ano, taki jest najpiękniejszy ze światów.

Jeśli miałbym na zakończenie pokusić się o jakiś morał, też nie wymyślę nic oryginalnego poza truizmem, że człowiek jest twardy i potrafi znieść wszystko. Można by tu zacytować piękne zdanie Hemingwaya, ale wszyscy je znają.

Szczęsny próbuje się dźwignąć. Wierzę, że któregoś dnia spotkam go na Piotrkowskiej w lepszej formie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WITOLD KOWALSKI

SMOLUCH WNIEBOWSTĄPIŁ

Wtedy jeszcze było tam zielono i zacisznie. Kilka domów czynszowych, parę jednorodzinnych klitek z ogródkami. Od miasta odgradzały Piekiełko cegielnie, tor kolejowy i kanał. Mieszkańcy wybierając się — zresztą niechętnie — w odwiedziny do krewnych, mówili: idziemy do miasta. Miasto było tam. Oddalone, zgiełkliwe, pełne miraży i tajemniczości.

Bliżej była wieś, Długa Kolonia, Działy i Brus. Ale z wsią łączyło mieszkańców tej enklawy jeszcze mniej. Uważali się za miastowych.

Stąd najczęściej chodziło się do roboty, do fabryk Kroniga, której nie wiedzieć dlaczego przydano od pokoleń miano „Pieprzory", do Starych Francuzów nad Kątną, a nawet do Geyera czy Eiserta. Droga była daleka, wzdłuż torów, jak wszystko tutaj.

Matka z tkliwością smarowała smalcem pajdy chleba i zawijała w biały papier pakowy, używany w fabryce do pakowania wełny. Chleb i naftę kupowało się w bieda—sklepikach, mieszczących się w kiepsko skleconych budkach, gdzie biedacy usiłowali handlować z jeszcze biedniejszymi, a że większość towarów sprzedawano na kredyt, jak tu się mówiło, na „borg". więc nie rodziły się fortuny, na mydle czy powidle. Daleko było w tej enklawie do miasta, daleko od wsi, a jeszcze dalej od nadziei na zmianę czegokolwiek.

Domy bez żadnych wygód. Pokój w czynszówce, piec żelazny, tzw. koza, na cztery fajerki. Woda, owszem, w cembrowanej studni na „podwyrku", z której dobywało się wody za pomocą żerdzi z wbitym na końcu gwoździem, na którym uwieszono wiadro cynkowe lub pobielane.

Wyrastała z tych wszystkich przeciwieństw przedziwna mutacja obyczajów, rodziły się w tym tyglu ciekawe indywidua, złe lub dobre, ale zawsze nieprzeciętnego formatu, co to „nie pękają" i „trzymają się równo", wiedzą lepiej i od księdza i od przodownika. Tacy, którym niełatwo w kaszę dmuchać...

I niebiescy ptakowie, którym łaskawa noc i dzień nie spieszny. Tacy od mojki i szpadryny, kurołapy i pajęczarze, obiboki i bohaterowie.

Takie to było wtedy przedmieście?

Wszyscy się znali, byli ze sobą spokrewnieni i skoligaceni. Małżeństwa zawierano najczęściej w najbliższej okolicy, wśród swoich. Łączyły ludzi wspólne losy i pochodzenie. Przychodzili najczęściej ze wsi, w poszukiwaniu roboty. Z ciężkiej fabrycznej orki powstawały ich domki, rodził się mały, podmiejski dobrobyt, taka bardzo mała stabilizacja, za grosze.

Uprawiali małe ogródki, hodując kwiaty i ziemniaki.

Przy naszej ulicy były cegielnie. Potężne kolumny-kominy, też z czerwonej cegły, na dole wielkie piece o piekielnie buzującym żarze, wreszcie ażurowe a przestronne szopy, służące do suszenia półfabrykatów. Dokoła, wśród łąk i wertepów biegły poplątane pasma wąskich szyn, po których z głębokich wyrobisk, chude szkapiny ciągnęły żelazne wagoniki pełne tłustej gliny. Wózki podskakiwały na wichrowatych płaszczyznach relsów, z górki hamowane potężnym drągiem, wkładanym między obręcze przez żylastych wozaków.

Jechały wozy z cegłą. Na Piachy i na Długą Kolonię. Powstawało z cegły i wapna parterowe siedliszcze nowo bogackich... proletariuszy. Bo pożyczki zaciągane na zakup placów i wznoszenia budynków obciążały hipotekę nieraz wiele lat po śmierci właścicieli, a wartość spadku była często mniejsza niż sumy kosztów sądowych.

Dachy to tylko smołuch... Tak nazywano w całej dzielnicy człowieka, składającego się w całości z przesyconych smołą gałganów i unoszących się wokół niego oparów denaturatu. Dachy smarowa smoą najlepiej w całej okolicy.

Wszyscy go znali, choć nikt nie znał nazwiska. Był bezdomny. Judym na opak. Chciał zbawić siebie przez alkoholowe wiebowstąpienie. I wstąpił do swojego nieba-niebytu. Kiedy przechodził przez szlaban, na przejeździe kolejowym przy Zagrodnikach, splątały mu się nogi.

Często go tak łapało. Kiedy tylko uzyskał jakąkolwiek kwotę za smolarskie czynności, natychmiast rączo ruszał do sklepu by — jak mawiał — „uradować główkę". A radości bywały coraz dłuższe, błogostan pełniejszy... To trzeźwiał gdzieś w krzakach, nad kanałem, to opodal Wojterowego płotu, niekiedy wprost w redlinach ziemniaków na Turka morgach. Tak się składało zawsze szczęśliwie, że były to miejsca zaciszne, urokliwe a bezpieczne.

Nawet pewnego razu spadłszy z Świędkowego dachu zarył tylko nosem w żwir, choć przeleciał się w powietrzu około dwóch pięter, głową w dół.

Nie potłukła się nawet butelka denaturatu, którą miał w kieszeni przeznaczoną do rychłej konsumpcji...

Ale wtedy hart opuścił Smolucha.

Rozpalił na podwórku ogień, obok kilka cegieł, na których ustawił kocioł z wrzącą jak diabelskie dekokty smołą. Pił. Potem na dachu. Smrodliwie, gorąco, lepko. Pił. Potem po robocie, razem z gospodarzem domu i pomagierem. Pili tęgo.

Wysoko jest od ziemi do dachu. Kto pracuje na dachu miewa lęki. Dlatego pije. I znów boi się. Ogarnia go nienawiść do pracy, że ciężka. Pije. Boi się, że alkohol nie działa w nieskończoność.

Tak zamyka się koło, z którego nie można wyjść. Można być tylko w jego kwadraturze.

Smoluch wiebowstąpił na przejeździe kolejowym. Masa cielska samotnej lokomotywy nie wiedziała, że jest sprawczynią wniebowstąpienia.

Byłoby to nawet może i patetyczne. Tylko czy patos jest w losach ludzi z dachów potrzebny?

Wniebowstąpienie odbyło się błyskawicznie. Bez bólu. Choć na długiej przestrzeni. Doczesne szczątki Smolucha znaleziono od przejazdu aż po wiadukt przy trasie bez nazwy. Jakby niespieszno mu było wniebowstąpić i z męką.

A może to niełatwo wniebowstąpić z dachu przez mękę ziemi?

KILKA PYTAŃ W SPRAWIE „OSNOWY"

O potrzebie kwartalnika albo miesięcznika poświęconego kulturze mówi się w Łodzi od dawna. Kłopoty były przez wiele lat ze zmaterializowaniem ducha, krążącego niespokojnie, przybierającgo różne kształty i niebawem porzucającego je, by za czas jakiś znowu zjawić się w innej postaci. Nie sięgając już do licznych przedwojennych, nietrwałych wcieleń, wymieńmy: **„Wieś", „Kuźnicę", „Łódź Literacką", „Kronikę", „Rzecz poetycką"**... A ileż to razy witaliśmy **„Osnowę"**! Pierwszy — w roku 1963, gdy ukazała się jako rocznik. W 1969 jako kwartalnik na prawach almanachu, z nazwami kolejnych pór roku zamiast numeracji. I znowu — w siedem lat po pożegnaniu w 1971 roku — jako nadzieję na czasopismo. Nadzieja ta miała spełnić się dopiero w trzy lata później.

Jeszcze w sierpniu powinien ukazać się w kioskach „Ruchu" pierwszy numer wznowionej **„Osnowy"**. Z półrocznym, technicznym poślizgiem, wywołanym niemożnością znalezienia w Łodzi drukarni gotowej przyjąć nowe łódzkie pismo (sic!), lecz za to od razu z wpisem „kwartalnik" i numerem 1 w akcie urodzenia (czy raczej: wskrzeszenia). Ale nieufny (i słusznie) czytelnik chciałby nie w zapewnieniach wydawcy, ani nawet w znakach na okładce, lecz przede wszystkim w treści, w indywidualnych rysach pisma, rozpoznać te cechy charakteru, które będą gwarancją dobrego poziomu i przyszłego rozwoju.

Tymczasem startuje **„Osnowa"** z całym balastem obciążeń i ograniczeń, wynikających nie tylko ze środowiskowych wątpliwości, pretensji, uprzedzeń, a nawet ostracyzmów, które — jakże by inaczej! — towarzyszyły jej powstaniu. Okoliczności te skłaniają do postawienia kilku zasadniczych pytań: co zmieniać, jak przekształcać zespół i model pisma, by nie utopić kolejnej szansy, z takim mozołem wywalczonej dla dobra łódzkiej — i nie tylko — kultury.

W podtytule **„Osnowy"** czytamy: **„kwartalnik społeczno-kulturalny"**, lecz — sądząc po pierwszym numerze — sformułowanie to wyraża bardziej intencje, życzenia twórców pisma, niż stan obecny. W pięcioosobowym zespole redakcyjnym znajdujemy nazwiska trzech łódzkich pisarzy i jednego naukowca - literaturoznawcy. Może więc dlatego w pierwszym numerze przeważa problematyka literacka zajmując dwie trzecie objętości. Takiego zachwiania proporcji nie da się ukryć pod eufemistycznym stwierdzeniem o **„pewnym przechyleniu ku sprawom literatury"**. Powstaje pytanie: czy wznowiona **„Osnowa"** ma szansę odegrać tę rolę, jakiej oczekują od niej środowiska twórcze? Czy zaproponuje wystarczająco pojemne pojęcie interdyscyplinarności, by umożliwić im równą szanse wypowiedzi? Czy rzeczywiście stworzy okazje **„publicznej wymiany myśli na tematy istotne dla artysty, badacza kultury, czy — najogólniej mówiąc — każdego, nietuzinkowego inteligenta interesującego się sztuką, historią, filozofią, ideologią etc"?** (tak trzy lata temu określone przez Jerzego Rzymowskiego zadanie „Osnowy" wydaje się bowiem wciąż najważniejsze — por. „Osnowa" wznowiona — ODGŁOSY 52-53 z 1978 r.).

Do pytań tych trzeba wracać, mimo deklaracji, że kwartalnik **„nie jest organem ani konkretnego stowarzyszenia twórczego ani instytutu"** (z noty red. nacz. T. Chróścielewskiego). To, że o powstanie pisma najbardziej zabiegali łódzcy literaci, a także — zawartość wcześniejszych edycji **„Osnowy"**, pozwala przypuszczać, że literackość może być trwałym, wręcz dziedzicznym obciążeniem. A jeśli jest to nie uniknione, to spytać trzeba dalej. czy łamy **„Osnowy"** będą miejscem integrującym podzieloną dziś społeczność literacką Łodzi? Czy stworzą odpowiadające randze nadrzędnej sprawy — kultury — formy udziału wszystkich stron? Chodzi tu o rzeczywiste gwarancje, że — mówiąc słowami obietnicy naczelnego redaktora — **„nie będzie się nikomu zaglądać do legitymacji"**.

Jeżeli tak, to chętnie widziałbym w najbliższych numerach (skoro — czy z racji „poślizgu"? — nie było to możliwe w pierwszym) utwory tych autorów, którzy przez ostatnie lata pozostawali w nieoficjalnym obiegu kultury. I nie dla zadość czynienia krzywdom, wymierzania „sprawiedliwości dziejowej", lecz dla stworzenia pełnego obrazu, dla zachowania reprezentatywności pisma, odpowiadającego swą zawartością autorską i problemową rzeczywistej sytuacji w literaturze i kulturze Polski. Wreszcie, dla rozszerzenia kręgu odbiorców.

Niestety, w numerze pierwszym redaktorzy tych — dość zasadniczych — spraw jakby w ogóle nie zauważyli, i to nie tylko w skali kraju, a nawet samej Łodzi, co — między innymi — może skazać „Osnowę", na nieobecność w niektórych, wcale licznych i silnie opiniotwórczych kręgach — zwłaszcza młodej inteligencji. Wyjąwszy tekst Jerzego Poradeckiego o „Klasycyzmie według Miłosza", ten numer „Osnowy" tkwi w tonacji przedsierpniowej i równie dobrze, z podobnym efektem, mógłby ukazać się dwa czy cztery lata temu. Trudno byłoby uznać ewentualne tłumaczenia, że rolą kwartalnika nie jest „nadążanie za teraźniejszością", rzecz bowiem nie rozstrzyga się o to, czy w piśmie tym powinna znaleźć się kronika kulturalna, lecz by już na wstępie nie deklarowało chowania głowy w piasek, by stwarzało możliwość — także ostrych, polemicznych — konfrontacji rozmaitych filozofii, poglądów społecznych, ideologii, itp., by nie skazywało się na wyniosłość Parnasu, by mogli gościć na jego łamach — dla przykładu — Konwicki i Barańczak, czy — dajmy na to — Sułkowski i Jaskuła (zostając przy literackich egzemplach) „Osnowa" musi — w swym przekroju — odzwierciedlać przekrój naszej inteligencji.

Wiąże się z tym druga, również dość delikatna kwestia: proporcji między tym co „łódzkie", a „ogólnopolskie". Pod tym względem sukces pierwszego numeru jest połowiczny: udział „czynnika ogólnopolskiego" nie rozkłada się bowiem równomiernie (niewiele go w poezji i w dziale „Wśród książek"). Mimo to trzeba dostrzec manifestowaną przez redakcję dobrą wolę, kiedy zapewnia, że **„pismo nie może być wyłącznie pismem piszących i dociekających łodzian"**. Pewne skutki takiego podejścia widać w numerze, próbującym — na kilka sposobów — godzić ambicje lokalne z obowiązkiem zainteresowania pozałódzkich czytelników (co jest istotne ze względu na ogólnopolski kolportaż i spory, trochę ryzykowny — jak na początek — nakład 3 tys. egz.). Mamy więc: dość ogólnie sformułowany temat („Trwałość i zmiana", czyli o stosunku nowości do tradycji w kulturze), parę znanych nazwisk spoza Łodzi (M. Jastrun, W. Juszczak, J. Łukasiewicz), a także próbę wskazywania na ponadregionalne oddziaływanie i znaczenie łódzkich inicjatyw (artykuł E. Pieszkun — Olejniczak o przedwojennej Nagrodzie Literackiej m. Łodzi).

Jeżeli jednak wziąć pod uwagę wszystkie te elementy, które zwykle składają się na tego typu periodyk, to okaże się, że u progu nowego życia **„Osnowa"** pełna jest luk i braków, że nie staje jej też niezbędnego pismu temperamentu. Skutkiem tego przypomina ona bardziej dawny almanach niż czasopismo.

Myślę jednak, że pocieszająco brzmi zapewnienie przedstawiciela wydawcy dyr. Jacka Zaorskiego, który na konferencji w WŁ. powiedział: **„Jeżeli koncepcja pisma będzie zła, zmienimy koncepcję"**. I tak właśnie — w sposób otwarty, żywy, dyskusyjny — powinno się traktować rozwój **„Osnowy"**. Inaczej może grozić jej, że kolejne tomy spoczną na ladach obok innych „półkowników". Wznowienie — po latach zabiegów — **„Osnowy"** jest jednak zbyt dużą szansą, by można ją było — znów — zmarnować.

TOMASZ SOLDENHOFF

P.S. I jeszcze by zapobiec ewentualnym nieporozumieniom. Pismo jest wydawane przez Wyd. Łódzkie (pierwszy to przypadek w jego dziejach), które w ramach własnych oszczędności wygospodarowało — dzięki zyskom z innych pozycji — środki na ryczałty dla redaktorów, honoraria i druk. Nowy periodyk nie obciążył puli papieru przeznaczonej dla łódzkiej prasy. Jego kolportażem zajmie się „Ruch", ale do systemu prenumeraty pismo wejdzie dopiero od 1 stycznia przyszłego roku.

Najbliższe numery nosić będą tytuły „Niepokoje" (2) i „Labirynt" (3). Skład zespołu redakcyjnego: T. Chróścielewski — red. nacz., W. Orłowski, J. Poradecki, Z. Skibiński, A Cierpikowski. Adres redakcji (przeoczono go w 1 numerze): Wyd. Łódzkie, Piotrkowska 171, 90-447 Łódź, tel. 636-49.

T. S.

ANDRZEJ STRĄK

KONIEC WIEKU

jutro będzie wojna
i śmierć
gadają stare baby w kolejkach
bo stare
główny księgowy fałszuje księgi
bo raz się
żyje
intelektualiści studiują święte przepowiednie
bo mądrzy
kajtek nie idzie do szkoły
bo teraz trzeba uczyć się
życia
jesteśmy źli dla siebie
bo inaczej już nie umiemy
żono

jutro będzie wojna
coś wisi w powietrzu
sputniki
ostatnie wiadomości
milczenie
sztuczne serca
nawozy
idee

jutro będzie wojna
wielka spartakiada
rodzą się

jutro będzie wojna
wielka spartakiada
rodzą się sami chłopcy
i modny jest kolor
zielony

jutro będzie wojna
a jak nie będzie
to co
będzie z nami

BUDOWA

grube ciężarówki przejeżdżają przez uszy
w oczy zagląda panorama okien
palce przekłuwane przez czerwone dzwonki
skóra oddycha sztucznym nawozem
na końcu języka słodki migdał śliny
nieustająca budowa ciała
mózg poprzerastały elektryczne zwoje
tylko na dnie mózgu
(które jest niekiedy zwane serce)
kłębi się zielony strumień
obłoczy się niebieskie niebo
a między nimi
cała bateria niewidzialnych butli tlenowych
delikatnie gwiżdże rozluźnione powietrze
sen

MOTYW Z MICKIEWICZA

dochodzę do wieku
w którym dochodzi
się do czegoś
doszedłem do bramy szpitalnej
na razie w charakterze odwiedzającego
doszedłem do okna na świat telewizora
ciągle jeszcze w charakterze widza
doszedłem na domowy plac boju
w charakterze szeregowca kaprala generała
ochotnika w służbie czynnej
doszedłem do krawędzi lustra
po drugiej stronie ujrzałem ciebie
ja wyznawca franciszka z asyżu
zwątpiłem
ja niewierny tomasz
uwierzyłem
teraz wierzę że jesteś
wierzę że jesteś sprawcą
że jesteś carem
wybrykiem natury
wierzę że zostaniesz
ukrzyżowany
i wiem
że zmartwychwstaniesz

Dalszy ciąg ze str. 1

rękę koło guzików munduru, osobno od generałów, którzy w dwuszeregu stali z innej strony pałacu, z Sosnkowskim pierwszym z prawej strony. Gdyby to był nie Śmigły-Rydz, lecz następca tronu grzebiący króla ojca, ten gest byłby mi sympatyczny, mówiłby: „teraz na mnie spada odpowiedzialność". Ale wtedy zrobiło to na mnie przykre wrażenie. Potem zobaczyliśmy przez okna Belwederu, jak zamigotały świece i jak wynoszono trumnę, pokrytą jedwabną płachtą z Białym Orłem. Przypomniałem sobie wtedy, że ruszenie trumny z katafalku było dla mnie zawsze najcięższym momentem w pogrzebach rodzinnych.

Ciało Marszałka Piłsudskiego wniesiono do katedry św. Jana, pozostawiono na noc pod sklepieniem. I tłum warszawski od rana zaczął płynąć jak rzeka. Było tysiące, dziesiątki, setki tysięcy ludu — ludzie stali jedenaście godzin czekając swojej kolei, aby na chwilę przejść prędko koło trumny, aby rzucić choć okiem na jej zamknięte wieko.

Na polach Mokotowskich odbyła się rewia wojskowa przed trumną Marszałka... Ostatnia rewia! Jego trumna na lawecie stała wysoko ponad trybunami publiczności, na tym samym miejscu, gdzie zwykle za życia przyjmował defilady. Szły wszystkie pułki ze sztandarami, wspaniała piechota, kawaleria, artyleria. Bębny warczały głucho. Było to widowisko groźne, wspaniałe, imponujące — zwłaszcza w chwili, kiedy poza trumną Marszałka zaczęły się kłębić coraz czarniejsze chmury i błyskawice zaczęły bić poza tą trumną. I wszystkich ogarnął nastrój zgrozy i obawy, co będzie z Polską.

Ranek dnia pogrzebu na Wawelu. Koło dworca krakowskiego, na małym, niechlujnym placyku przed niepozornym dworcem krakowskim, rozwijał się pochód. Szli przedstawiciele wszystkich krajów, byli obecni specjalni wysłannicy Jego Brytyjskiej Mości w czerwonych mundurach, był francuski premier Laval, był wyorderowany Goering, mnóstwo mundurów, orderów i gali, potem szło duchowieństwo w liturgicznych szatach, za długim orszakiem prawie wszystkich arcybiskupów i biskupów Polski, szli także biskupi obrządku unickiego. Obok pastorałów — posochy unickie, obok łacińskich szat liturgicznych — szaty bizantyjskie. Potem były i sukmany krakowskie, lubelskie stroje góralskie, kontusze szlacheckie. Ostatni raz widzieliśmy wielką Polskę w jej sienkiewiczowskiej glorii. Dzwon Zygmunta dzwonił.

Pochód w Krakowie przekroczył wszystkie obliczenia. Tłum szedł na Wawel od godz. 8 rano do godz. 6 wieczorem. Była to rzeka, lawina, morze ludu.

Piłsudski miał fantastycznych wielbicieli, którzy go kochali więcej, niż własnych rodziców, niż własne dzieci, ale było wielu ludzi, którzy go nienawidzili, miał całe warstwy ludności, całe dzielnice Polski przeciwko sobie, potężną nieufność do siebie. I oto nie znać było tego w dniu pogrzebu. Przeciwnie, można stwierdzić jako fakt i prawdę że w dniach jego pogrzebu że na wieść o jego śmierci, strach i zaległnienie, co stanie się teraz z Polską, kiedy Jego zabrakło, przeleciał od Bałtyku, poprzez Poznańskie i Śląsk i od Karpat do Dźwiny. Po całej wielkiej ojczyźnie, którąśmy cztery lata po Jego śmierci stracili.

Wybacz mi czytelniku, że do tych wspomnień dorzucę jeszcze fakt z nizin, z dołów społecznych, dorzucę wiadomość dziwną o ludziach, którzy stoją poza społeczeństwem. Oto w dniach bezpośrednio po śmierci Piłsudskiego w całym mieście Wilnie policja nie zanotowała ani jednego faktu kradzieży. Męty społeczne także były przejęte na swój sposób, zdenerwowane na swój sposób.

Piłsudski, ten — jak głosiło orędzie Prezydenta — największy człowiek na przestrzeni naszych dziejów, był to — jak napisał jeden z naszych poetów — „poemat narodowy".

SŁAWEK — MOŚCICKI — RYDZ

Na naradzie nocnej po śmierci Marszałka, Sławek jako premier wysunął Rydza na generalnego inspektora sił zbrojnych. Część pułkowników wolałaby Sosnkowskiego, ale Sławek opowiedział się za Rydzem, choć był z nim w gorszych stosunkach osobistych, niż z Sosnkowskim, choć mógł się w nim obawiać konkurenta do przewodzenia obozowi legionowemu. Ale Sławek wiedział, że Piłsudski, usuwając Rydza od wszelkiej polityki (nazywało się nawet wtedy „Syberią Rydza"), uważał go za swego następcę w sprawach wojskowych. Było nie do pomyślenia, by Sławek kiedykolwiek poszedł wbrew woli Piłsudskiego.

Wszelkie plotki, że Sławek nie chciał Rydza owej nocy, są z gruntu fałszywe, choć były później przez zwolenników Rydza przeciwko Sławkowi rozsiewane.

Kwestia prezydentury pozostała otwarta. Sławek czekał aż Mościcki zgodnie z dyrektywą Piłsudskiego prezydenturę mu ustąpi. Mościcki nie miał żadnego oparcia w kraju, cienia popularności. Był co prawda obrany w 1933 roku na następne siedmiolecie, stało się tak jednak tylko na rozkaz Piłsudskiego, choć mówiono o kandydaturze Prystora, ale wtedy zaszło jakieś tragiczne nieporozumienie Piłsudskiego z Prystorem. Teraz najsłabszy nacisk na Mościckiego zmusiłby go do ustąpienia. Wystarczałoby, by poszli do niego ministrowie, prezes najwyższej izby kontroli, prezes sądu najwyższego i wskazując na wolę Piłsudskiego, zażądali ustąpienia. Ale przełożonym tych wszystkich panów był Sławek, który miał być tym prezydentem zamiast Mościckiego, więc Sławek ze skrupułów czysto osobistej natury od takiego wystąpienia ich powstrzymywał. Sławek potrafił spełnić każdy polityczny rozkaz Piłsudskiego, ale gdy Piłsudski umarł, w Sławku zostało tylko: rycerz i dziecko. Matuszewski wzruszał ramionami i wołał: „To miejsce w tramwaju się ustępuje, ale nie władzę w państwie". Miedziński postawił coś w rodzaju ultimatum Sławkowi: „Albo obejmiesz władzę, albo ja wysunę kogo innego na wodza obozu legionowego".

W jakieś dwa lata po tym wszystkim zapytałem Sławka, dlaczego nie usunął Mościckiego w roku 1935. Sławek podniósł na mnie oczy:

— Jakże mogłem to zrobić, przecież pan wie, że to ja miałem być tym, który miał zająć jego miejsce.

Pomyślałem sobie, że taka odpowiedź u każdego innego, prócz Sławka, brzmiałaby inaczej. Kto inny powiedziałby ją z patosem, albo z mniej czy więcej udaną skromnością, podkreślając: „patrzajcie, jaki ja jestem bezinteresowny". Sławek odpowiedział mi tonem wprost przepraszającym — było mu przykro, że nie potrafił spełnić tej ostatniej intencji Piłsudskiego.

Obok Sławka za kandydata na prezydenta zaczął się uważać Rydz. I tutaj okazało się, że Mościcki nie jest tak naiwny, jak o tym myślano. Potrafił po kolei usunąć Sławka, zneutralizować Rydza, robiąc mu miejsce obok siebie, a nawet uzyskać dla siebie samego jakąś sytuację w społeczeństwie, dzięki temu, że zaczął reprezentować lewicowy kurs za czasów „Ozonu".

Opozycja, na skutek uchwalenia ordynacji wyborczej, nie wzięła udziału w wyborach. Do sejmu wybrano wyłącznie piłsudczyków. Od Sławka zażądał Prezydent, aby mianował Kwiatkowskiego ministrem skarbu, oświadczył uprzednio, że po śmierci Piłsudskiego rządzić będzie nami prawo, tzn. konstytucja 23 kwietnia, która składała władzę w ręce prezydenta. Sławek więc pierwszy uszanował to prawo, gdy się obróciło przeciwko niemu, i ustąpił.

Premierem został Marian Zyndram-Kościałkowski. Był to człowiek przyzwoity, liberalny, trochę snob, z przekonań lewicujący. Zaczął być zwalczany, zarówno przez sławikowiczów, jak przede wszystkim przez Rydza. Po śmierci króla Aleksandra I, którego naród serbski czcił jak bohatera, jego następca, regent Paweł, zdecydował się przekreślić wszystko, co brat stryjeczny zrobił, przeprowadził zgodę z opozycją, nieledwie z mordercami brata. Kościałkowski mógł więc sobie także powiedzieć: Piłsudskiego nie ma, rządy systemu Piłsudskiego bez Piłsudskiego są niemożliwe, trzeba powrócić do parlamentu, w ramach konstytucji 23 kwietnia. Kościałkowskiego serce na pewno by ciągnęło w tę stronę, bo był to człowiek, który by chętnie widział siebie w roli premiera parlamentarnego. Ale wymagało to zmiany ordynacji wyborczej, zerwania ze Sławkiem i z Rydzem. Na to Mościcki i Kościałkowski byli za słabi, za mali, za nieśmiali. Kościałkowski oburzył się nawet na tych, którzy proponowali mu, by wystąpił z amnestią dla Witosa, przebywającego za granicą. Próbował natomiast tworzyć własną organizację polityczną na miejsce BBWR, rozwiązanego przez Sławka, i chciał w tym celu użyć federacji związków b. wojskowych organizacji, która istniała najniepotrzebniej w świecie i wielu ludziom zabierała czas i pieniądze państwowe. Ale to mu się nie udało. Zwracam uwagę na daty: — Kościałkowski został premierem dnia 12 października 1935 roku. Sławek rozwiązał BBWR dnia 30 października t.r. A więc pomimo tego, że Sławek został odsunięty od premierostwa, pozbawił się on dobrowolnie tak silnego instrumentu politycznego, jak BBWR, będący całkowicie w jego rękach.

Sławek ma w dalszym ciągu sejm w orbicie swoich wpływów. Marszałkami senatu i sejmu są Prystor i Car, ludzie Sławka; Miedziński co prawda Sławkowi się wyłamał, ale większość posłów i senatorów jest za Sławkiem, w którym widzi charakter i prawość, a nie za Miedzińskim, którego inteligencji się boi, jak chłop się boi sprytniejszego od siebie Żyda. Kozłowski namawia Sławka, by parlament uchwalił po prostu votum nieufności Kościałkowskiemu. Ale myśl wynoszenia nieporozumień wśród piłsudczyków na forum publiczne daleka jest wtedy od Sławka. Toleruje więc Kościałkowskiego i nawet uchwala mu pełnomocnictwa.

W tych czasach zaczyna urastać popularność Rydza. Wypowiem tu porównanie, niezupełnie być może ścisłe co do Jeremiego Wiśniowieckiego, ale jaskrawe. Oto Jeremi Wiśniowiecki był wielkim wodzem i politykiem. Polska go nie lubiła. Oto pozostawił syna, żebraka i cymbała: szlachta obrała go na króla, broniła, szanowała i kochała jak żadnego z królów elekcyjnych ani przedtem, ani potem. Piłsudskiego zwalczała Polska. Pokochała go dopiero w dniu pogrzebu. Ale jego rzekomego następcę o kwalifikacjach bliższych Michałowi niż Jeremiemu Polska wielbiła i czciła.

Nigdy Piłsudski nie miał tej sytuacji w Polsce, którą miał Rydz w 1936 roku. Narodowcy i socjaliści gotowi byli wołać: „Niech żyje wojsko! niech żyje Rydz!" Chciano powszechnie, by doszedł do władzy, obiecywano sobie także, że zmieni ordynację wyborczą.

Przeciwnicy Mościckiego stawiają na Rydza. Matuszewski wciąż myśli o doprowadzeniu do konfliktu pomiędzy Mościckim a Rydzem. Rydz nie przyjął wizyty Kościałkowskiego, chciał, aby Mościcki mianował premierem Koca. Ale intencje Matuszewskiego, by nastąpił konflikt Mościcki — Rydz, okazały się nierealne. Mościcki okazał się za sprytny, Rydz za miękki. Matuszewski z Miedzińskim pracują na Rydza. Dnia 17 kwietnia 1936 roku ukazuje się w pułkownikowskiej „Gazecie Polskiej", której redaktorem naczelnym jest Miedziński, artykuł Matuszewskiego, atakujący rząd Kościałkowskiego za brak siły, powagi, za brak decyzji. Rząd konfiskuje ten artykuł, ale Kościałkowskiego to wykańcza. Rydza artykuł ten oburza. Miedzińskiego Rydz nie przyjmuje za karę przez osiem miesięcy. Na razie jednak właśnie Rydz wyjeżdża na tym artykule. Mościcki chce zgody z Rydzem, i układają kompromis. W gabinecie zostaje Kwiatkowski jako minister skarbu, dla którego prezydent żywi uczucie ojcowskie, ale premierem zostaje wskazany przez Rydza Składkowski. Dnia 15 maja 1936 roku przychodzi do władzy ten gabinet. Od tej daty ustala się też ostatecznie rozłam na ex-pułkowników Sławka i ex-pułkowników Rydza. Miedziński, Koc, Składkowski przechodzą do Rydza. Prystor, Car, Świtalski, Jędrzejewicz zostają wierni Sławkowi, ale Jędrzejewicze są najmniej popularnymi ludźmi w ogóle w Polsce, a Świtalskiego wykończył ostatecznie Kościałkowski, mianując go wojewodą krakowskim, na którym to stanowisku Świtalski popełnia nietakty i błędy. Od tej daty rozpoczyna się także duumwirat Rydz — Mościcki. Trzeba istotnie niesłychanej indolencji słabości Rydza, by Mościcki, to absolutne zero za czasów Piłsudskiego, nabrał pewnej siły i pewnego znaczenia politycznego. Ministrowie dzielą się na ministrów Rydza i ministrów Mościckiego. Składkowski (prezydium i sprawy wewnętrzne), Kasprzycki (wojsko), Ulrych (koleje), Grabowski (sprawiedliwość), to ministrowie Rydza, a Kwiatkowski (skarb), Poniatowski (rolnictwo), to ministrowie Mościckiego. Kościałkowski, którego snobizm był większy od ambicji, także pozostał w tym gabinecie. Należy przyznać, że ministrowie Mościckiego górują inteligencją i charakterem nad ministrami Rydza. Beck zaczyna odgrywać rolę Mefistofelesa, zajmując pozycję całkiem odrębną, wmawiając wszystkim, że tylko on zna tajemnicze zaklęcia, które skutkują w polityce zagranicznej.

Rydz jest pierwszym władcą Polski od Piasta i Lecha, który nie pieczętuje się żadnym herbem. Pochodzenie jego jest dość mętne, według pewnych wersji ma on być synem żandarma czeskiego i Ukrainki, w każdym razie jest to dziecko ludu, które zawdzięczamy Brzeżanom. Po tych wszystkich doświadczeniach, które już są dziś niesporne, należy się zapytać, jakim dziwnym sposobem tak długo mógł imponować ten człowiek bez inteligencji, bez charakteru, mały i małostkowy, próżny i pusty. Należy to przypisać dobrym warunkom zewnętrznym, sympatycznemu wyglądowi, darowi krasomówstwa, łatwości mówienia pięknych i płytkich frazesów, dobrej jeździe konno, miłemu stosunkowi do ludu, oraz niewypowiadaniu się głośno w sprawach, które przerastały jego inteligencję. Umiał „ohranić molczanje w ważnom sporie, s uczionym widom znatoka" — jak powiada Puszkin.

Składowski jest postacią o wiele sympatyczniejszą. Nazywałem go „Komendanta Piłsudskiego wachmistrzem Soroką". Kto wie, może, gdyby zacnego Sorokę zrobiono kanclerzem Rzeczypospolitej, także by zwariował. Jako pisarz, Składkowski pozostanie w literaturze polskiej — jego pyszną proza wojskowa przypomina jędrnością i świetną polszczyzną styl Jana Chryzostoma na Gosławicach Paska. Składkowski miał rozmach, dynamiczność, ujawniał ją zwłaszcza w sprawach do których dorósł, a więc przede wszystkim w sprawach klozetów i urządzeń sanitarnych. Jego reformy w tej dziedzinie były tak arbitralne i tak energicznie przeprowadzone w całej Polsce, że nazwałem go „Piotrem wielkim w klozetowej skali". Za czasów jego premierostwa przywieziono do Polski zwłoki króla i wielkiego księcia Stanisława Augusta. Składkowski oświadczył, że nie może tego króla pochować na Wawelu, bo to był zły król, i w nocy po kryjomu kazał go zamurować w zakrystii w Wołczynie, b. rodzinnym majątku Poniatowskich na Podlasiu. Pisałem mu wtedy dość wyraźnie: „zobaczymy jeszcze, na jaki pogrzeb pan zasłużysz". Istotnie, gdy cała Europa budowała schrony, Składkowski wiercił dziury w płotach, domagając się, by cała Polska miała płoty z drutu, lub żeby chłopi bielili swe chaty. Nawet w tragicznym odwrocie z Polski, sam premier spisywał protokóły za niechlujnie utrzymane śmietniki. Tragizmem narodów słowiańskich są rządy państw oddane obłąkańcom; lejce rozbieganej czwórki czy kierownica samochodu w rękach obłąkańca nie są widokiem tak tragicznym, jak obłąkane władztwo nad wielkim państwem i żywym narodem. Paweł I, obłąkany rycerz, wizjoner średniowiecza na tronie Rosji, Rasputin, u nas Składkowski. Był to zresztą dobry człowiek, dobry żołnierz, dobry Polak. Zwichnęli mu umysł, pozbawili uczucia uczciwości żołnierskiej ci, co zrobili go premierem, wyrządzając mu tym największą osobistą krzywdę.

(c.d.n.)

WIECZÓR

STANISŁAW CAT -MACKIEWICZ

„Podczas bitwy o Anglię jesienią 1940 r., w przerwach między bombardowaniami, w hallu skromnego, londyńskiego pensjonatu „White House", na chybotliwym, zakapanym świecą stoliku, bez papierosów, notatek i literatury Stanisław Mackiewicz pisze swą „Historię Polski 1918—1939" (...). Napisał „Historię Polski" w kilka tygodni. W marcu 1941 r. wyszła z drukarni. Jest to pean i pamflet, książka tendencyjna, niesprawiedliwa i bardzo osobista. Catowska wersja i wizja Polski. Niemniej historycy jej nie lekceważą...".

Tak o okolicznościach powstania „Historii Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939 roku" — (pełny tytuł) — pisze biograf Stanisława Cata Mackiewicza, Jerzy Jaruzelski. Książka ta nie jest znana bliżej polskiemu czytelnikowi. Jedyne jej krajowe wydanie — powielaczowy reprint Instytutu Spraw Międzynarodowych z 1958 roku — miało ograniczony zasięg. Sądzić jednak można, że polscy wydawcy zadbają o należne miejsce dla spuścizny pisarskiej Mackiewicza, włącznie z nie publikowanymi dotąd w kraju pracami.

Zanim to jednak nastąpi, przedrukowujemy z „Historii Polski" — w przeddzień rocznicy Września 1939 i w 15 rocznicę śmierci autora — trzecią jej część pt. „Wieczór" z niewielkimi tylko opuszczeniami (pomijamy m. in. rozdział II pt. „Ordynacja wyborcza", jako interesujący dziś przede wszystkim specjalistów).

Część ta — obejmująca okres od śmierci Piłsudskiego do wybuchu wojny — napisana jest, jak i cała książka, typową dla Mackiewicza techniką, bardzo osobistą, wręcz emocjonalną. Cat operuje tu błyskotliwym skrótem i zaskakującą metaforą, gęsto okrasza swój wywód anegdotą. Z równą przesadą pisze on dobrze o przyjaciołach, co źle — o wrogach. Swoich, osobistych. I takie też właśnie — arcyindywidualne — są jego oceny.

Oceny, których trafność niekiedy zadziwia, kiedy znów indziej — wzbudza ogromny sprzeciw.

Aby podjąć z nim polemikę, skomentować go, trzeba by równie wiele papieru na ten cel poświęcić. Dlatego też przyjmijmy jego tekst, jakim jest. Tak zresztą jak przyjmowaliśmy Mackiewicza za jego życia — z całym dobrodziejstwem jego pisarskiego i politycznego inwentarza.

„Polska jest Polską, nie dzieli się na Polaków zwyciężonych i zwycięzców, ale tylko na Polaków" — te słowa Cat Mackiewicz wypowiedział na warszawskim Okęciu, powróciwszy w 1956 roku z emigracji.

Był wrogiem ustroju Polski Ludowej — nigdy tego nie ukrywał — lecz wrócił, bo nie był nigdy wrogiem Polski. A kim był?

Na pewno — konserwatystą nieprzeciętnej miary. Monarchistą, który w 1925 roku przedstawił Piłsudskiemu w Druskiennikach swój... plan monarchii. Był „integracyjnym reakcjonistą" — jak sam siebie określił, Konserwatysta, mocarstwowiec, federalista, ekspansjonista. Demagog, paszkwilant i insynuator...

Nie, za wszystkie te epitety nie obraziłby się wcale. W sposób pozerski, aktorski, a nawet megalomański obnosił się z tym, chełpił i szczycił, że jest tak niezłomnie reakcyjny.

Nade wszystko był jednak wielce utalentowanym dziennikarzem, i pisarzem, który pozostawił po sobie kilka tysięcy artykułów, ponad 50 broszur, cztery sztuki teatralne, ponad 20 książek.

Łazarz Stanisław z Jańcza Mackiewicz herbu Boża Wola urodził się w 1896 roku w Petersburgu w zasobnej zmieszczaniałej rodzinie szlacheckiej. Prawnik z wykształcenia, działacz konserwatorskiej grupy tzw. żubrów wileńskich (założona w 1926 roku Polska Organizacja Zachowawczej Pracy Państwowej), poseł do Sejmu RP z listy BBWR, więziony w 1939 roku w Berezie Kartuskiej jako reprezentant prawicowej antysanacyjnej opozycji — był przede wszystkim dziennikarzem.

W latach 1922—1939 był redaktorem naczelnym i wydawcą wileńskiego „Słowa", które z prowincjonalnej gazety stały się pismem ogólnopolskim, ważącym przez lat kilkanaście na prasowej i politycznej mapie II Rzeczypospolitej.

Po wybuchu wojny znalazł się w Anglii, gdzie kontynuował działalność dziennikarską, i polityczną, m. in. jako członek emigracyjnej Rady Narodowej, a w latach 1945—55 premier polskiego rządu emigracyjnego.

W 1956 roku powrócił do kraju, gdzie współpracował ze „Słowem Powszechnym", „Tygodnikiem Zachodnim" „Kierunkami", „Przeglądem Kulturalnym". Potajemnie też — pod pseudonimem Gaston de Cerizay — publikował korespondencję w paryskiej „Kulturze".

W Polsce Ludowej ukazały się też jego książki — „Londyniszcze", „Dostojewski", „Muchy chodzą po mózgu", „Stanisław August", „Zielone oczy", „Był bal" „Herezje i prawdy", „Europa in flagranti" „Kto mnie wołał, czego chciał".

Zmarł w Warszawie w 1966 roku.

J. IND.

P.S. Tekst podajemy według zasad pisowni współczesnej.

Pogrzeb ofiar przewrotu majowego

KARUZELA NAD PIOTRKOWEM

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

Połączenie gubernialnego mieszczanina z nowoczesną, socjalistyczną robotnicą wydało na świat „osobnika środka Polski", który obdarzony dużą wyobraźnią potrafi porwać się na bardzo dziwne i trudne przedsięwzięcia. Niewątpliwie dla Piotrkowa „Światowe Mistrzostwa Śmigłowców" były takim przedsięwzięciem. Bez większego zaplecza hotelowo-gastronomicznego ,bez dobrego lotniska i przy szczupłej kadrze zapaleńców zdecydowano się ubiegać o przyznanie IV mistrzostw.

„Prezentację województwa piotrkowskiego pragniemy rozpocząć stwierdzeniem, że ziemia ta w każdym niemal okresie państwowości polskiej odgrywała znaczącą rolę. Tutaj odbywały się sejmiki i sejmy. Tutaj także odbywały się sejmy elekcyjne, składali hołdy władcom Polski Mistrzowie Zakonu Krzyżaków. Tutaj bywali: Kopernik, Kochanowski i Frycz-Modrzewski. Był czas, kiedy Piotrków stanowił drugą po Krakowie stolicę Polski. Tutaj wreszcie są wysokie walory klimatyczne, resztki puszczy w dolinie Pilicy, jeden z nielicznych rezerwatów hodowli żubrów i znana stadnina koni w Bogusławicach".

Tak piotrkowianie reklamują swoją ziemię w wydanym w języku angielskim folderze pt. *„4-th World Helicopter Championships"*. Jeśli zatem miały się odbyć *„Mistrzostwa Śmigłowcowe Świata"* w Polsce, to nie może być dla nikogo zaskoczeniem, że tylko Piotrków mógł te zawody zorganizować.

Początek przedsięwzięcia odnotowano w kronikach miasta w połowie 1979 roku, kiedy to decyzją FAI (Międzynarodowej Federacji Lotniczej) miting najlepszych wiropłatowców zdecydowano odbyć w pępku Polski, a więc w Piotrkowie.

Pierwszy sekretarz KW w Piotrkowie od samego początku, jest gorącym protektorem mistrzostw. Nieoficjalnie dowiedziałem się, że *Stanisław Kolasa* ma przydomek *„latającego sekretarza"*. I jest to fakt. Podpułkownik pilot, *Stanisław Kolasa*, lubi na swoje województwo popatrzeć u góry.

— *Wie pan* — powiedział w swoim gabinecie, kiedy złożyłem mu wizytę przed Mistrzostwami Śmigłowcowymi — *umiejętność latania pomaga mi bardzo w rozeznaniu sytuacji na ziemi.*

— *Ale czy np. kolejki z góry wydają się mniejsze?* — pytam naiwnie.

— *Kolejki wydają się mniejsze* — pada odpowiedź — *ale, kiedy staniemy nogami na ziemi, kolejki nabierają automatycznie właściwych proporcji... Mieliśmy rozmawiać o lotnictwie, lataniu i mistrzostwach... Mistrzostwa są dla nas niewątpliwie poważną próbą sił działaczy i sprzętu. Przecież tak wielka impreza lotnicza to nie tylko ludzie, ale także i martwy, bezduszny sprzęt ze wszystkimi „złośliwościami przedmiotów". Nawet najlepsi ludzie stają nieraz bezradni wobec awarii urządzeń. Podejmując się zorganizowania imprezy, zaczynaliśmy z bardzo niskiego pułapu, mówiąc językiem lotniczym. Budynki na lotnisku bardzo skromne, płyta lotniska także, drogi dojazdowe, łączność, itp. wymagały wielkiego nakładu sił...*

— *I środków?* — wtrącam.

— *Środków też, ale ponieważ z tymi od pewnego czasu jest sporo kłopotów, postawiliśmy na wysiłek społeczny. I nie zawiedliśmy się. Obecnie lotnisko w Piotrkowie niczym nie przypomina obiektu sprzed kilku lat.*

Kolejna rozmowa toczy się już na lotnisku.

— *Jak to się stało* — pytam płk pil. inż. *Alojzego Górnego* — *że pan, zajmujący się od lat sprawami łódzkiego lotnictwa na Lublinku, objął na czas mistrzostw funkcję dyrektora mistrzostw w Piotrkowie?*

— *Jestem żołnierzem* — odpowiada *A. Górny* — *zadzwonił do mnie generał i wydał rozkaz. W wojsku, jak pan wie, rozkazy wykonuje się bez dyskusji. Nawet jeśli trzeba zostać dyrektorem.*

I kiedy w dniu otwarcia Mistrzostw Świata, w niedzielę 16 sierpnia br., generał dyw. pil. *JAN RACZKOWSKI*, wypowiedział sakramentalną formułę *„IV Mistrzostwa Świata Śmigłowców uważam za otwarte"*, dyrektor-pułkownik *Górny* mógł mieć osobistą satysfakcję.

NIECODZIENNY KONIEC DMUCHANIA DO BALONU

CANON-Balon, którego start był jednym z punktów programu otwarcia mistrzostw, przyjechał w bagażniku nysy, powożonej przez dwóch poznańskich baloniarzy. Od chwili rozciągnięcia czaszy na płycie lotniska, wielobarwny plaster balonu przyciągał uwagę 20 tysięcy widzów zebranych na stadionie *XXXV-lecia PRL*. Napełnianie balonu poznańscy miłośnicy latania *po cichu* i *w koszu* rozpoczęli na kilkadziesiąt minut przed swoim startem. Operacja odbywała się przy pomocy dyszy z gorącym powietrzem, podobnej zresztą do tych, jakie używa się w pracach drogowych, przy łataniu np. dziur w asfalcie. Ryczało to i hałasowało, ale dzięki odbywającej się w tym samym czasie paradnej mustrze reprezentacyjnej orkiestry Wojsk Lotniczych i ogromnej sile bębnisty, który walił dwiema pałami w skóry swojego bębna, hałas dmuchawy nie dawał się słuchaczom koncertu wojskowego zbytnio we znaki.

Kiedy już balon wypełniony był do połowy gorącym powietrzem, załoga nadzorująca dmuchanie przedstawiła wobec siebie protokół rozbieżności. Jeden z nich był zdania, iż balon powinien być nadmuchany do 5/6 objętości z uwagi na warunki lotu nad stadionem, drugi zaś uznał, że tylko 4/4 pozwoli na bezpieczny i spokojny lot *CANONA*. Od słowa do słowa, argumenty były coraz cięższe i w rezultacie zwolennik 5/6 rzucił czapką klubową o ziemię (podobnie, jak to czynią górale, kiedy są maksymalnie wkurzeni), porzucił towarzysza w sytuacji czaszy 3/4 i zasiadł na trybunach, zajmując się rozmową z sympatyczną piotrkowianką. Jego miejsce w koszu zajął przygodny kibic, mieszkaniec Piotrkowa. Nie zdążyłem nawet zanotować jego nazwiska, bowiem dowódca balonu zabrał go do wiklinowej gondoli na sekundę przed oderwaniem się kosza od ziemi. Niewątpliwie jednak, jest to ważny moment dla Ziemi Piotrkowskiej, bowiem z całą pewnością po raz pierwszy w wielowiekowej historii Piotrkowa, syn tej ziemi wyniesiony został w koszyku pod niebo.

SZKOCKA BUTELKA SZAMPANA

Pierwsza konkurencja mistrzostw polegała m. in. na tym, aby nad stadionem, na oczach całej widowni, w tym kilku generałów polskich w mundurach oraz wielu wyższych oficerów i urzędników bez mundurów, umieścić zawieszoną na siedmiometrowej lince butelkę szampana, dokładnie w otworze makiety dachu domu mieszkalnego. Oficjalnie w regulaminie nazywało się to „akcja ratownicza". Swoją drogą w okresie zmniejszonej podaży szampana na rynku krajowym, tego typu „akcja ratownicza" niewątpliwie spotkałaby się z wielkim uznaniem ratowanych ofiar, ale wszyscy zdawali sobie także sprawę, że takie właśnie są wymogi Międzynarodowej Federacji Lotniczej, której prezes, obecny zresztą na stadionie, *Bertrand Larcher*, z Francji, mógł nie wiedzieć o naszych przejściowych trudnościach alkoholowych. Na słowa uznania w tym miejscu zasługuje organizator mistrzostw, który nie licząc się z kosztami dostarczył na start 40 butelek szampana.

Akcja wrzucania butelek przebiega sprawnie. Każda załoga precyzyjnie trafia w kwadrat wycięty w dachu domu, w którym w normalnych warunkach powodzi znajdować się powinni powodzianie, złaknieni lekarstw, żywności i koców. Kiedy ostatni śmigłowiec „napoił szampanem" domniemane ofiary żywiołu, siedzący obok mnie obywatel wstał, wytarł spocone z emocji dłonie o spodnie i ze słowami — *trzy kontenery szampana diabli wzięli* — rozgoryczony opuścił stadion. Aliści, nie miał do końca racji. Jedna z załóg, lecącą na śmigłowcu o wdzięcznej nazwie *GAZELLE*, popełniła jakoby odstępstwo od regulaminu. Otóż, jak się plotkowało, ich butelka tylko na starcie była butelką szampana. Na ziemi miało się okazać, że „rozbitkowie" otrzymali z nieba zamiast szampana, zwykłą wodę. Jak tego dokonali lecący na *Gazelli* pilot *K. Zmitrowicz* (pół-Szkot) i *R. Whaite* (pełny Szkot), pozostanie ich szkocką tajemnicą. Cała historia zresztą nie jest zupełnie pewna.

MACA Z ALABAMY

Kapitan pilot US Army jest bardzo prostolinijny i bezpośredni w kontaktach z dziennikarzami. Na Mistrzostwach Świata w Piotrkowie pełni funkcję kierownika i łącznika ekipy amerykańskiej. *Maca* przybył do Polski już w czerwcu, bowiem zadaniem, jakie mu wyznaczyli szefowie, było przygotowanie lądowania wielkiego samolotu transportowego Amerykańskich Sił Lotniczych na lotnisku warszawskim. Wysłano go także jako zwiad, przed przybyciem pilotów helikopterowych USA do Piotrkowa. Jak wiadomo, żołnierze w USA nie otrzymują dolarów znajdujących się w obiegu, ale posługują się tzw. *„dolarami wojskowymi"*. Waluta honorowana jest w bazach wojskowych Stanów Zjednoczonych na całym świecie. W Polsce jednak, ze zrozumiałych powodów, *„dolar wojskowy"* nie ma większej wartości. Stąd też *Maca* musiał omówić z organizatorami cały szereg spraw walutowych. Ponieważ każdy uczestnik mistrzostw musiał wpłacić 500 dolarów, a ponadto dokonać obowiązującej wymiany granicznej iluś tam dolarów za każdy dzień pobytu w Polsce, spraw do załatwienia miał *Maca* pełen worek. Jak obliczyłem prowizorycznie (bo jednak miał kapitan *Maca* trochę wojskowych tajemnic przede mną), koszt przysłania ekipy amerykańskiej do Piotrkowa obciążył armię amerykańską na ponad 200 tysięcy dolarów. Dodać do tego trzeba obowiązkowe ubezpieczenie od wypadku lotniczego w wysokości pół miliona dolarów za każdą biorącą udział w zawodach maszynę.

Z *Bronisławem Macą* rozmawia mi się swobodnie. Nie mam najmniejszych trudności z odbiegającym przecież od szkolnego angielskiego, językiem używanym przez Amerykanów. *Bronisław Maca* wyjechał z Polski z rodzicami w roku 1964. Miał wtedy 14 lat i zdążył ukończyć siedem klas szkoły podstawowej. Mówi bardzo dobrą polszczyzną. Także jego dwójka dzieci (4 i 7 lat) mówi dobrze po polsku. *Bronek* jest instruktorem w wojskowej szkole pilotów śmigłowcowych w stanie Alabama. Ma na swoim koncie wylatanych 3000 godzin, co w porównaniu z polskimi pilotami jest ilością ogromną. A nie jest on żadnym ewenementem w klanie pilotów śmigłowcowych USA. Rekordzistą w tym zakresie jest *Joe Mashman*, pilot doświadczalny firmy *Bell*, który przeżył w powietrzu 18 tysięcy godzin. W Piotrkowie *Mashman* był jednym z sędziów międzynarodowych.

W trakcie kiedy romawiałem z *Macą*, podeszło do niego dwóch młodych dżentelmentów w cywilnych ubraniach, skrojonych z wymogami sznytu i elegancji polskiej wsi. *Bronek* przedstawił mi obu. Byli to jego szwagrowie; przybyli na spotkanie z *Bronkiem* ze wsi położonej niedaleko Piotrkowa. Stąd wywodzi się żona *Macy*. Nie wypadało mi dłużej zabierać czasu rodzinie polsko-amerykańskiej, zwłaszcza, że z chwilą przybycia szwagrów *Maca* przestał zwracać na mnie uwagę.

TRUDNO MIEĆ DZIECI W CZASIE LATANIA

Prawdę tę uświadomiła mi pilotka śmigłowcowa startująca na zawodach w ekipie Polski, *Teresa Ćwik-Maszczyńska*. Jest mieszkanką Wrocławia i pracuje w Przedsiębiorstwie Usług Lotniczych. Lata jako pilot, wożąc różnych śpieszących się na konferencję dyrektorów, a także paczki i inne ładunki. Praca trudna i odpowiedzialna, ale Teresa nie wyobraża sobie innej. Jest z wykształcenia technikiem chemikiem i absolwentką Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Od lat związana z lataniem: na szybowcach, samolotach, a od trzech lat na śmigłowcach. Jest jedyną kobietą latającą w kraju na helikopterach. Kruczowłosa, opalona, bardzo ładna. Ma 30 lat i męża. Typ polskiej rodziny 2 + 0. Kiedy zapytałem ją, czy nie uważa, że pora pomyśleć o drugiej generacji lotniczej w rodzinie *Maszczyńskich*, zdradziła mi tajemnicę, że jej mąż także jest pilotem. Jasna sprawa, że nie ma takiej sytuacji w ich życiu, aby latali gdzieś razem. A pilot to przecież nie dróżnik kolejowy, którego ze snu wybijają pociągi przelatujące obok domu, w którym mieszka. A poza tym nerwowe jest życie kobiety, która musi wychowywać małe dziecko kiedy mąż gdzieś tam lata.

Nawigatorem w załodze kobiecej jest *Anna Iwańska*. Opalona, długonoga, długowłosa. Mąż jej nie jest pilotem. Tworzą rodzinę polską typ 2 + 1.

Obie nasze panie na śmigłowcu Mi-2 *dały popalić* wszystkim pozostałym załogom. W trzecim dniu mistrzostw w przelocie nawigacyjnym poleciały wspaniale i zajęły drugie miejsce, pozwalając się pokonać tylko załodze z RFN. O dwa punkty zresztą. Wspaniałe babeczki.

ZŁOTO WYLANE NA TRAWĘ

Był taki moment w trakcie zawodów, w którym drużyna polska była mistrzem świata, zaś polski pilot *Zbigniew Domina*, zajmował pierwsze miejsce indywidualne. Wiadomość ta dotarła do ekipy polskiej na kilka minut przed startem do ostatniej konkurencji mistrzostw, slalomu śmigłowcowego. Bardzo trudna, wymagająca dużej precyzji konkurencja. Polscy piloci mieli manewry slalomowe wytrenowane i nie było takiego w ekipie polskiej, który miałby wątpliwości co do ostatecznego wyniku konkurencji. Zespół polski składał się z trzech załóg: *Szarawary, Tredera i Dominy*. Wszyscy po trzech konkurencjach uplasowani na bardzo wysokich miejscach w klasyfikacji. Złote medale mieli polscy piloci w kieszeni jeszcze na starcie slalomu. Slalom, teraz to można powiedzieć, miał jednak zasadniczą wadę. Trasę trzeba było pokonać nie tylko po wyznaczonym bramkami torze, ale dodatkowo z wiaderkiem wypełnionym 5 kilogramami wody, zawieszonym na sznurze długości 5 metrów i trzymanym w jednej ręce przez nawigatora wywieszonego poza kabiną helikoptera. Za każde pięćdziesiąt gramów ulanej w czasie konkurencji wody z wiadra, załoga otrzymywała punkt karny. Jako pierwszy startuje *Domina*. Już na starcie widać, że pilot i nawigator mają *„galaretę w nogach"*. Niezbyt to dobra prognoza. Leci *Domina*, wiaderko trzyma na linie *Górnicki*. Na pierwszej bramce tak fatalnie naleciał pilot i tak fatalnie odchyliła się lina w rękach *Górnickiego*, że wiadro trafiło w słupek i wylało się równo 350 gramów wody. Jako drugi leci *Treder*. Doskonały pilot mający na swoim koncie wiele godzin wylatanych w Afryce w bardzo trudnych warunkach, gdzie trzeba było dokonywać oprysków pól uprawnych z wysokości 20 centymetrów nad ziemią, latając po kilka godzin dziennie. Pokonuje slalom dobrze, ale nie trafia w szeroki, kilkumetrowy „korytarz", prowadzący do linii mety. Punkty karne. Żegnaj tytule mistrza świata. Co z tego, że najbardziej opanowany *Szarawara* pokonał trasę bez punktów karnych.

Po skończonej konkurencji kierownik polskiej ekipy, *Andrzej Kolankowski*, powiedział: — *I pomyśleć, że w tak trudnych ekonomicznie czasach wylewamy złoto razem z wodą"*.

TE BEZMYŚLNE, ZŁOŚLIWE PRZEDMIOTY

Święte słowa wypowiedział I sekretarz KW, *Stanisław Kolasa*, kiedy zauważył, iż martwe przedmioty mogą zniweczyć wysiłki organizatorów.

Oto fakty. Organizatorzy i sędziowie przygotowują II konkurencję tzw. *precyzyjnych manewrów*. Trasa wiedzie korytarzem wytyczonym po kwadracie o boku 50 m. Niezbędne jest jednak przystrzyżenie trawy lotniska, aby wyraźnie było widać szlak, jakim musi przelecieć helikopter. Oczywiście, nikt jeszcze nie wymyślił nic lepszego od kosiarki napędzanej silnikiem spalinowym. Widuje się podobne w każdym parku. Kosiarka, która decyzją organizatorów awansowała na mistrzostwach do miana *miss trawy*, operowała, jak pracowita górska owca, skubiąc trawę lotniczą, dokładnie przez 20 minut Zgrzytem i świstem podkreśliła po tym czasie, że przestała się interesować jakąkolwiek robotą na rzecz przybyłych z odległych krajów pilotów. Pech chciał, że na lotnisku nie było innego podobnego sprzętu, który załatwiłby pilną potrzebę organizatorów. Minęło parę godzin, zanim spowodowano uruchomienie wrednej maszyny i zmuszono ją do wykonania etatowej powinności.

Jeszcze gorsze zdarzenie miało miejsce w czwartym dniu mistrzostw. Otóż po każdym locie, aby orzec czy z wiaderka ubyło po slalomowym locie wody, zawartość naczynia była dokładnie ważona, No, ale żeby ważyć, trzeba mieć dość proste urządzenie (bodaj wynalezione przez Fenicjan), jakim jest waga. Kołomyjka zaczęła się w momencie, kiedy zorientowano się, że na lotnisku, (które przecież nie jest sklepem ze śledziami) wagi nijakiej nie ma. Właściwie była jedna, ale zbyt mało precyzyjna, aby można było orzekać, kto ma być mistrzem świata, a kto na to, wylewając po drodze wodę, nie zasłużył. Szczęściem, w dwudziestym wieku są takie urządzenia, jak samochody. Pojechała służbowa Wołga i po półtorej godzinie nowa, dobra waga stała w centralnym punkcie zawodów. Dalej już konkurencja przebiegała sprawnie. A była to ostatnia konkurencja mistrzostw. I bardzo dobrze, bo diabli wiedzą, co jeszcze mogłoby się zaciąć, popsuć czy potłuc. I to byłoby, po IV Śmigłowcowych Mistrzostwach Świata, jak to się mówi, na tyle.

Foto: J. Dybkowski

Teresa Ćwik-Maszczyńska i Anna Iwańska

DOBRY PAN BAŁUCKI I NIEDOBRA HISTORIA

Jest taki mało znany wiersz Konstantego Gałczyńskiego o Michale Bałuckim, który tak pięknie opisał nieistniejący już świat XIX-wiecznych mieszczan:

Ten świat, o którym tylko książka mówi: znam go, przeminąłby jak tyle innych błazeństw ludzkich, gdyby go w noc natchnioną w sercu swym nie zamknął, jak w szkatule złotej, dobry pan Bałucki;

— — — — — — — — — —

Nikt nie znał go. I nikt nie wiedział, że prochownię nosi ten człowiek na dnie serca, które marzy — i raz w noc, ot, „dobranoc" krzyknąwszy gwałtownie, cicho odszedł do nieba komediopisarzy.

Osiemdziesiąt lat temu strzelił sobie w serce na krakowskich Plantach *dobry pan Bałucki*. Nie nędza, nie zawiedziona miłość, ale niedobra, okrutna i bezwzględna Historia pociągnęła za spust pistoletu. Oto poczytnemu i popularnemu pisarzowi przyszło na progu XX wieku skonfrontować swoją twórczość i swoją autorską popularność z wielką rewolucją estetyczną, obyczajową i światopoglądową Młodej Polski. To wtedy po raz pierwszy sformułowano pogardliwe sądy o dorobku Bałuckiego.

W naszej historii takie konfrontacje zdarzały się potem nie raz, tylko finał nie zawsze bywał tragiczny.

Nie szukając daleko taka znacząca konfrontacja nastąpiła w roku 1949, ale większość pisarzy wyciągnęła z niej wnioski bardzo praktyczne. Estetyzujący poeci zaczęli pisywać *widokówki z miasta socjalistycznego*, psychologizujący prozaicy zaczęli pisywać socrealistyczne instruktarze dla twórców — dołączyli szybko do młodych, gniewnych *pryszczatych*. Literatura lat pięćdziesiątych to była *Wiosna sześciolatki* Woroszylskiego, Brauna i Mandaliana, *Przy budowie* Konwickiego, *Obywatele* Brandysa, *Bieg do Fragala* Stryjkowskiego... Schematyczny kanon ówczesnej literatury podpisany był przez te nazwiska.

A potem nastąpiła kolejna konfrontacja w okolicach *polskiego Października*. I znów pisarze nie wyciągnęli gremialnie pistoletów, lecz praktyczne wnioski. Autor *Przy budowie* i schematycznej *Władzy* — powieści o tzw. odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym, wyciągnął z szuflady powieść o Wileńskiej Dywizji AK; Woroszylski napisał *Okrutną gwiazdę*, w której rozliczał swego nieżyjącego przyjaciela Tadeusza Borowskiego za *współpracę* z bezpieką. Nie wiadomo zresztą czy prawdziwą, ale któż to wie? — Borowski, podobnie jak Bałucki popełnił samobójstwo. Brandys rozliczył się z kultem jednostki w *Obronie Grenady*; Braun dokonał obrachunku z przeszłością w *Piekle wybrukowanym*; Stryjkowski z upływem lat przeszedł od wielkiego entuzjazmu do *Wielkiego strachu* wydanego już później w tzw. nieoficjalnym obiegu.

Ale póki co przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych charakteryzowało hasło „Kochajmy się" — między władzą a pisarzami. Ci co byli *dobrzy* w poprzednim okresie okazali się także *dobrzy* na nowym etapie.

Potem jednakże coś się zaczęło psuć. Nie potrafię powiedzieć, czy to dawni *socrealiści* poszli za daleko w swoim *liberalizmie* — czy po prostu władza przyjęła bardziej ostry kurs. Fakt, że dawni współrealizatorzy polityki wczesnych lat pięćdziesiątych powoli usuwali się w cień, lub... byli usuwani.

Czym się to skończyło — wiadomo. Większość dawnych socrealistów w ostatnich latach bądź nie publikowała wcale, bądź publikowała w tzw. obiegu nieoficjalnym. Dołączyli do nowych, młodych gniewnych.

I takie to bywały nasze literackie zakręty i konfrontacje. I bardzo dobrze — literatura jest bogatsza, gdy jest pełna pomyłek i zmiany frontów; gdy pisarska biografia biegnie od katolickiego *Ładu serca*, poprzez socrealistyczną publicystykę, aż do wielowymiarowej *Miazgi*.

I chociaż jestem pełen szacunku dla dramatycznej decyzji Michała Bałuckiego to jednak żal, że ten mądry pisarz nie dołączył do krakowskich modernistów na początku XX wieku. Miał 64 lata, gdy strzelił sobie w serce — mógł jeszcze wiele napisać; może by wówczas pozostały w dramaturgii z tamtej epoki lepsze sztuki niż kompletnie dziś zwietrzałe dramaty Przybyszewskiego.

Ale cóż — czasy były inne, ludzie inni i przechodzenie z etapu do etapu nie stanowiło — jak dziś — problemu wyłącznie zmiany rękawiczek.

WIDOK

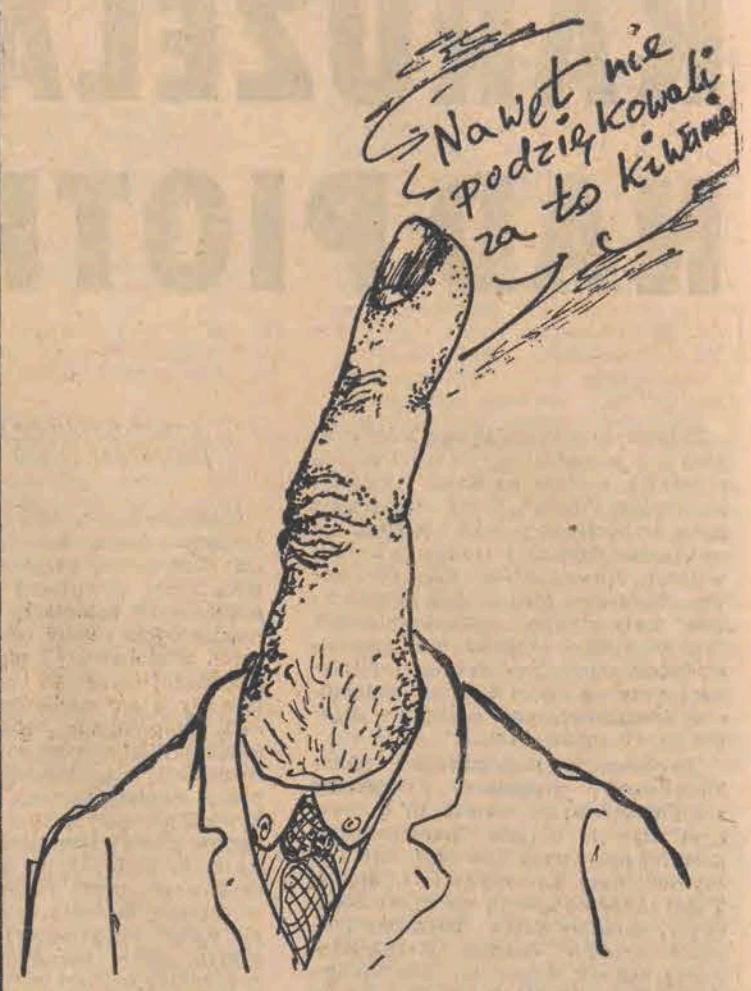

Rys. ANDRZEJ GRUN

KUPĄ MOŚCI PANOWIE

Kupą — oczywiście — na prof. Zdzisława Krasińskiego. Dla uniknięcia nieporozumień, wyjaśniam od samego początku tego felietonu, że uznaję prawo krytyki każdego i przez każdego, pod warunkiem wszakże, że w krytyce takiej używa się argumentów, bo w przeciwnym razie nie jest to krytyka a pomówienie, albo coś innego i gorszego. Można więc i trzeba krytykować pomysły prof. Z. Krasińskiego, bo może coś z tego wyjść pożytecznego. Przewodniczący PKC, którym, jak wiadomo, jest prof. Z. Krasiński, w toku tej dyskusji odchodzi od pewnych swoich pomysłów, modyfikuje je, dopasowuje do oczekiwań, a raczej do niepokojów społeczności, której to w końcu zamierza wyjąć z kieszeni trochę gotówki. Nie dziwi mnie to, że społeczność gorąco przeciw temu protestuje i to jeszcze przed samym faktem wyjmowania tej gotówki, bo później i tak będzie zbyt późno.

Większość naszego społeczeństwa uważa, że podwyżki cen są nieuknione, niezbędne, ale nie takie, jak proponuje prof. Z. Krasiński. Nikt nie wierzy, że po podwyżce cen pojawią się towary, bo niby skąd mają się wziąć? Z magazynów? Te są przecież puste. Z fabryk? Te produkują i teraz, jeśli mają z czego, jeśli ma kto produkować, jeśli mają energię, jeśli... Dlaczego więc teraz nie ma? Nie ma dlatego — mówią ekonomiści — że na rynku jest nadmiar pieniędzy. Przy niedoborze towarów nadmiar pieniędzy powoduje gwałtowne ogałacanie rynku. Jacek Indelak w „Odgłosach" jednak uważa, że jest odwrotnie, że nadmiar pieniędzy jest tylko skutkiem, a brak towarów na rynku przyczyną załamania się tego rynku. I proponuje ów nadmiar pieniędzy na rynku uznać za zjawisko przejściowe. Co więcej nawet — za zjawisko pozytywne, które „w miarę rozkręcania reformy gospodarczej" stanie się stymulatorem „rozwoju społeczno-gospodarczego", bodźcem „pobudzającym ludzką aktywność". Można i tak. Tylko, po co?

Na całym świecie ruch cen jest zjawiskiem normalnym. Coś drożeje, coś tanieje, a dzieje się tak w wyniku działania normalnych mechanizmów ekonomicznych. Pewnie, że dotyczy to ludzi i nie wszyscy są tym zachwyceni, podejmują więc walkę przeciw drożyźnie. U nas natomiast ruch cen był od dawna wyrazem nie działania praw ekonomicznych a polityki. Pamiętam takie czasy, kiedy taniały podkłady kolejowe i lokomotywy, a drożała żywność i ubrania. I to wszystko działo się w interesie klasy robotniczej. W założeniu ustrojowym było konieczność obniżania cen, ale w praktyce ceny rosły, a przez to obniżał się poziom życia, spadały realne płace. Były to zjawiska ujemne, które rodziły konflikty społeczne. Byłoby jednak poważnym błędem sprowadzić przyczyny tych konfliktów tylko do ruchu cen w dół czy w górę. Przyczyny były znacznie głębsze. I dziś wiemy, że bez reformy gospodarczej z kryzysu nie wyjdziemy. Jest więc zgoda — w teorii — na reformę, nie ma natomiast zgody na podwyżki cen. A jedno bez drugiego nie ma sensu.

Jacek Indelak ma za złe prof. Zdzisławowi Krasińskiemu, że „eksperymentuje na nas bez litości". Przepraszam, a na kim ma eksperymentować? Na królikach lub świnkach morskich? Wszelkie reformy wprowadza się do żywych społecznych organizmów i wprowadza się je zawsze z jakimś ryzykiem. Do tej pory mieliśmy rządowi za złe, że nie ma w nim ludzi z koncepcjami, z wyobraźnią, z odwagą cywilną, z fantazją nawet. Pojawił się taki i co? Ruszono kupą na niego, bo wychylił się sporo ponad średni poziom. A my tego nie lubimy. Więc po łbie faceta, żeby znał swoje miejsce. Zadyskutować na śmierć koncepcje „reformy cen".

Pod koniec 1923 roku sytuacja w Polsce była znacznie gorsza niż dziś. Była to już hiperinflacja. Wtedy to premierem i ministrem finansów został Władysław Grabski. Reformę waluty wprowadził 28 kwietnia 1924 roku. Do tego czasu otrzymał specjalne pełnomocnictwa od Sejmu. Gdyby dziś pojawił się ów „cudotwórca", to też by nic nie zrobił. Bez specjalnych pełnomocnictw oczywiście. Każdy jego pomysł byłby szeroko dyskutowany, obalany, wertowany i tak dalej. Dyskusje są potrzebne, ale i konsekwentne działanie również. Prof. Zdzisław Krasiński jest tylko przewodniczącym Państwowej Komisji Cen, a więc w jego kompetencji leży tylko jedna część, wstępna, reformy gospodarczej. W moim przekonaniu potrzebny nam jest ktoś, kto miałby nie tylko do dyspozycji sztab ludzi mądrych, ale i specjalne pełnomocnictwa od Sejmu dla wprowadzenia reformy gospodarczej.

MARCIN RODAK

1/3 mini magazynek

PRASÓWKA

BRAK NARZĘDZI...

Brygada „Budremu", remontująca sklep przy ul. Piotrkowskiej 101, wyjmowała wielkie szyby wystawowe przy użyciu drewnianej belki — donosi „Małe wydanie GR". Rzecz jasna, szyby zostały potłuczone.

Powszechnie mówi się o braku narzędzi pracy w budownictwie. A gdyby tak częściej używać rozumu? (Chyba, że też już „wyszedł" z magazynu).

PRZERWAĆ PISANIE

„Widziałam kiedyś w gabinecie lekarskim pacjentki, które były już po zabiegu. To co one przeżywały w tym czasie wiedzą tylko one same. Nie da się też w żaden sposób opisać ten ból psychiczny, jaki odczuwają, który jest tym większy, gdy któraś z nich wie, co to znaczy być matką, bo wie co to znaczy czuć w sobie płód" — pisze K.B. w „Wiadomościach Skierniewickich" o zabiegach przerywania ciąży.

Niekiedy, nawet gdy intencje są najszlachetniejsze, warto by przerwać pisanie. (Aby zaoszczędzić Czytelnikom bólu psychicznego wywoływanego obcowaniem z fatalną polszczyzną).

APEL DO FILANTROPÓW

„Fiata 126 p „tanio kupię" — ogłasza Czytelnik „GR".

Kto chce najmniej...?

HASŁO NUMERU: Żądamy rekompensat dla używających zdrowego rozsądku!

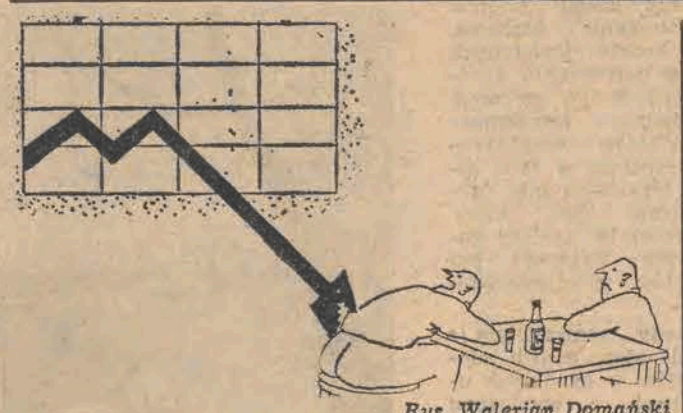

Rys. Walerian Domański

KAŻDY WIDZI TO CO CHCE WIDZIEĆ

Oto trzy tytuły umieszczone nad tą samą informacją PAP (podaną z powołaniem się na „Żołnierza Wolności" i DTv), wykorzystaną w trzech łódzkich dziennikach w tym samym dniu, 21 sierpnia:

Kontrowersje wokół czołgu—pomnika na Westerplatte?

(„Głos Robotniczy")

W SPRAWIE CZOŁGU—POMNIKA NA WESTERPLATTE

(„Express Ilustrowany")

SKANDALICZNE ŻĄDANIE EKSTREMISTÓW „SOLIDARNOŚCI"

Protest środowiska kombatanckiego

(„Dziennik Łódzki")

Co najdziwniejsze, każda z gazet informuje w zakończeniu depeszy o wypowiedzi telewizyjnej prezydenta Gdańska, z której niedwuznacznie wynika, iż jeżeli istnieją jakiekolwiek kontrowersje w sprawie pomnika na Westerplatte, to mieszczą się one między tym, co mówią na ten sam temat prezydent Gdańska i korespondent „Żołnierza Wolności" i jeżeli istnieje jakiś skandal wokół Westerplatte, to wywołał go tenże korespondent cenionej skądinąd żołnierskiej gazety.

Skąd tytuł w „Dzienniku Łódzkim"? Ano cóż, jeszcze raz potwierdza się stara prawda, że jak ktoś chce coś koniecznie zobaczyć, to zobaczy...

(kat)

PS. 25 bm. szef „Dziennika Łódzkiego" przepraszając Czytelników za tytułowy incydent (i za powstałe z tego powodu zamieszanie) poinformował, iż wyniknął on „z nie przemyślenia sprawy do końca przez członka zespołu opracowującego depesze".

Matoplast

— Jakie to ma znaczenie, że wasze przedsiębiorstwo uprawnione jest do otrzymywania matoplastu w pierwszej kolejności? Pan uważa, że ci, którzy złożyli te zamówienia — dyrektor uderzył ręką w plik papierów leżących na biurku — nie są objęci uchwałą priorytetową? Otóż zapewniam pana, że są. A skąd ja mam wziąć takie ilości towaru? Lubi pan szynkę, panie kolego? No właśnie. Więc mam odebrać matoplast rolnictwu i dać panu? Panie kolego, zacznijmy wreszcie myśleć po nowemu!

W pewnej chwili Szarek poczuł się zmuszony tym, jak mu się wydawało, nieco przydługim monologiem dyrektora. Wstał więc, przeciągnął się szeroko, potem jakby od niechcenia wydobył z teczki kilka przedmiotów, z których dla zabicia czasu zaczął układać barwną mozaikę. Ponieważ przedmioty te były różnej wysokości, Szarek podkładał pod najniższe z nich zwitki jakichś papierów naprędce wyciągniętych z portfela.

Dyrektor przerwał swe wywody na temat kretynizmu pewnych ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć najprostszych spraw, i ze wzrastającym zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom klienta. Po kilkuminutowej przerwie powrócił do tematu.

— Z drugiej znów strony ja was rozumiem. Chcecie produkować — musicie mieć ten cholerny matoplast. A produkować musicie, ponieważ rynek czeka na wasze wyroby. Macie produkcję rynkową, prawda? No właśnie. Zresztą dowodem tego jest ta specjalna uchwała priorytetowa, która jesteście objęci. A specjalnej uchwały priorytetowej nie wolno lekceważyć. Co by tu zrobić... co by zrobić... Zdaje się, że widzę jedno wyjście. Gdyby tak odebrać przydział Zakładom Wyrobów Potrzebnych dla Rolnictwa a dać wam? Co pan o tym sądzi, panie kolego?

— Dobra jest. Mnie tam wszystko jedno jak pan to załatwi, byle było — odburknął dosyć niegrzecznie Szarek.

Wbrew twierdzeniom niektórych malkontentów właściwie rozumiana specjalna uchwała priorytetowa zawsze pomaga zaopatrzeniowcom w ich trudnej i jakże ważnej pracy.

(JAN WALEK)

PAMIĄTKA Z WAKACJI (nasz konkurs)

Prawie każdy coś tam przywozi z wakacji. A to dziewczynę, a to kożuch, to znów pryszcze. Niektórzy przywożą dokumentację. Jeden z Czytelników dostarczył nam dokumentację z Turcji. Uwiarygodnia ona jego pobyt, a poza tym podnosi nasze narodowe samopoczucie. Okazuje się, że i Turcy nie gęsi i nasz język znają.

Dzień dobry!

Bardzo nam to ucieszyło poznawać panie. My do panie uslug! Nasz przedsięwzięcie jest producent od skóra jagnięcia, wyroby skorzane, skorny konfekcja, konfekcja zamszy, jeleń skóra, futro, kożuch; naszy ceny na 20 proc. poniżej cena rynkowa.

Bardzo dziękuje!

AHMET KACAR
KACAR LEDER
Istanbul

WALESA YEST W POLSCE
A' MY YESTES MY TU
ZARASZAMY DO NASEM SKLEPU
JUBILERSIEGO I SKORZANEGOWYROBY
GWARONTOWANE DZIGKUJEMY ZA
ODWIEDZENIE

MEHMET HOT
CARLI
Istanbul

Ogłaszamy konkurs na najciekawszą dokumentację tego rodzaju. Nagród jeszcze nie mamy, ale chyba coś wymyślimy. Dokumentację po wykorzystaniu zwracamy.

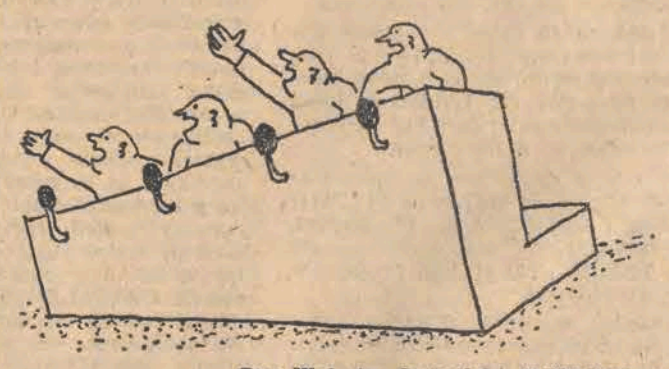

Rys. Walerian Domański. 15.XII.1980 r.

Tygodnik społeczno kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 1a/ w Warszawie nr 1153-201045-139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1845. K-11.